



GAZETA NAGRODY  
LITERACKIEJ  
**GDYNIA**

ISSN 2081-7789

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

DODATEK

**LITERACKI** NR 6(7)  
2010



## DO NAS NALEŻY JEDYNNIE GŁOS

z Zbigniewem Liberą rozmawia Krzysztof Siwczyk

**Krzysztof Siwczyk:** Zbysku, razem z Darkiem Foksem byliście nominowani do Nagrody Literackiej GDYNIA w kategorii prozy, w pierwszej edycji NL GDYNIA (2006). Wyjątkowa książka *Co robi łączniczka*, którą zilustrowałeś kolażami, była bodajże najczęściej komentowaną pozycją tamtego okresu. Przy okazji twojej retrospektywy w „Zachęcie” pojawiło się również piękne wydawnictwo dokumentujące twoje działania artystyczne. Na początek powiedz, jaki jest twój stosunek do książek, na ile są one materiały wyjściową do działań ściśle powiązanych ze sztuką, którą uprawiasz?

Zbigniew Libera: Przede wszystkim chciałbym zwrócić uwagę, że te kolaże nie pełnią w książce Foksa roli zwyczajnej ilustracji. One współtworzą z tekstem pewną nierozdzieloną całość. Można je czytać niemal tak jak tekst, zaś sam tekst wytwarza obrazy oraz dźwięki. Trochę tak, jak w filmie, gdzie trudno powiedzieć żeby obraz ilustrował opowieść i dialogi. Zdecydowanie nie jestem ilustratorem. Podobnie w pozostałych moich pracach, gdzie inspiracja bardzo często pochodzi z różnego rodzaju tekstów – głównie filozoficznych czy socjologicznych, ale też z beletrystyki – lecz nigdy nie są one po prostu ilustracją tych tekstów. Myślę nawet, że komuś patrzącemu na moje prace bardzo trudno by było odgadnąć, które teksty stanowiły inspirację dla poszczególnych realizacji. Tekst traktuję raczej jako wyzwalacz dla dalszej, własnej spekulacji. Interesują mnie przede wszystkim ciekawe i pojemne koncepty czy idee. Mniej narracja i historyjki. Niekiedy bywa, że wychytuję i podejmuję na własny sposób pomysł czysto formalny, bez względu na to czemu służył pierwotnie.

Poza tym po prostu lubię czytać, nawet jeśli nie da się z tego niczego wyluskać dla mojej własnej pracy.

**W Spisku sztuki Jean Baudrillard powiada: „Żal i resentyment stanowią być może ostatnie stadium historii sztuki”. Stwierdzenie to chodziło mi po głowie podczas oglądania twojej najnowszej**

**pracy *Wyjście ludzi z miasta*. Ta imponująca, niemalże panoramiczna praca, w zadziwiający, nieco sowizdrzałsko-sarkastyczny sposób gra z czymś, co możemy nazwać historią sztuki. Nie bez kozery na niemal matakowskich wymiarach zdjęcia odnajdujemy „apokalipsę dziś”, postacie okutane w niemodne łachy w exodusie wprost w oczy widza, obserwatora. Żal, który widać na ich twarzach, jednocześnie przechodzi w resentyment, rodzaj wewnętrzznego zawzięcia – z powodów niedookreślonych. Ta „apokalipsa dziś” dzieje się jakby bez powodów, zwłaszcza metafizycznych czy religijnych. Myślałem też o słynnym skądinąd wierszu Miłosza, w którym przekonywał, że „innego końca świata nie będzie”. Jaki jest twój pogląd na „inny koniec” sztuki czy literatury?**

Każdy koniec jest zarazem początkiem czegoś innego. Ludzie na mojej panoramie opuszczają miasto, bo życie tam straciło dla nich sens. Nie ma elektryczności, nie ma wody, nie ma benzyny. Żywność ma tylko ten, kto ją sobie sam wyprodukuje. Miasto się skończyło. Widać porzucone wzdłuż drogi bezużyteczne już samochody, a nawet helikopter, który w obliczu utraty swojej pierwotnej funkcji stał się charakterystycznym punktem informacyjnym. Nie wiemy, co dla tych ludzi oznacza opuszczenie miasta, być może uwolnienie się od koszmaru bez żadnego żalu czy resentymentu. Oczywiście są nieco zawzięci, bo idą w nieznaną. To jedynie z naszej mieszczańskiej perspektywy wydawać się może tragiczne. Z innego punktu widzenia może to być na przykład akt założycielski, tak jak, powiedzmy, wyjście Żydów z Egiptu. Być może to my właśnie teraz jesteśmy tymi ludźmi w transzycie przedstawionymi na mojej fotografii. Zależy to od interpretacji. Ten, kto potrafi przedstawić mocną interpretację, jest w stanie zapanować nad tą wizją. Przechodząc do twojego pytania – być może, istotnie, straciliśmy już sztukę, ale nie jesteśmy w stanie tego nawet zauważyć, bo instytucje tak mocno ją obrosły, że spoza tego gąszczu nic nie widać. Gdyby rzeczywiście tak

było, nie byłoby w interesie tych wszystkich urzędników wyjawić prawdę, zakładając, że w ogóle byłoby w stanie ją dostrzec.

**Kontemplując twoją „księgę retrospektywną”, czyli album *Libera*, natrafiamy na reprodukcję zdjęć *Urządzeń korekcyjnych*. Michał Herer w doskonałej książce poświęconej filozofii Gilles’a Deleuze’a zauważa: „[...] każde urządzenie jest abstrakcyjne, o ile funkcjonuje, to znaczy o ile należy do porządku maszynowego”. Twoje urządzenia, chociażby *Uniwersalna wyciągarka do penisa*, jako obiekty artystyczne podlegają ciągłej deterytorializacji – można je interpretować tak w polu czystej abstrakcji (spełniają jej wymóg wg Herera, są absolutnie sprawne), jak i czystej rzeczywistości, kiedy wyobrazimy sobie ich funkcjonalność w zastosowaniu. Czyli kiedy zwyczajnie poddamy je „testowi ciała”. Z jaką intencją realizowałeś tę jedną z najgłośniejszych swoich prac? Czy Deleuze i jego filozofia „struktur, maszyn i kreacji” jest ci bliska?**

Filozofia Deleuze’a to dla mnie chyba najbardziej inspirujące teksty XX wieku. Eksplozja kreatywności w momencie, gdy wydawało się, że nie ma już nic do dodania. Jednak kiedy pracowałem nad *Universal Penis Expander* jeszcze się z jego twórczością nie spotkałem. Co oczywiście wcale nie oznacza, że twoje podejście interpretacyjne jest nieuprawnione.

Jak wiele z moich urządzeń, tak i to jest projektem kompleksowym. Istotną jego część stanowi załączona *Instrukcja obsługi*, która dokładnie omawia jego funkcję. Mówiąc w skrócie, chodzi o to, aby osiągnąć na stałe „odmienny stan świadomości” za pomocą metodycznego wydłużenia penisa. Jakkolwiek paradoksalnie by to brzmiało, to tego typu zabiegi praktykuje się od tysięcy lat – między innymi w dolinie Gangesu czy pośród amazońskich Indian. Istnieje całkiem pokaźna dokumentacja na ten temat. Niestety część tych dokumentów została zniszczona przez Amerykanów w latach 30. Mam tu na myśli bogatą

dokumentację, w tym również filmy, zrobioną podczas wyprawy córki Theodora Roosevelta do Amazonii. Wiemy o tym, bo na szczęście pewna część materiałów została opublikowana, jeszcze zanim pochłonął je pruderyjny szal. Jak nie trudno się domyślić, takie praktyki miały charakter religijny, niemający nic wspólnego z podniesieniem męskiej sprawności seksualnej. Wręcz przeciwnie, adept posiadający penisa o długości półtora metra nie byłby zdolny do odbycia stosunku i wcale by tego nie pragnął, bo najprawdopodobniej permanentnie przebywałby w stanie „na krawędzi orgazmu”. Moje zadanie polegało w tym przypadku na przeniesieniu tej prastarej praktyki depriwacyjnej we współczesny kontekst. Była to więc praca *stricte* designerska. Sam pomysł powstał, gdy przyglądałem się projektom pojazdu dla bezdomnych Krzysztofa Wodiczki. W założeniu miał to być pewien rodzaj krytycznego dialogu z jego projektem. Podobnie jak w jego pracy, i ja zwracałem się do pewnej określonej grupy ludzi: On do bezdomnych, ja do tak zwanych „Modern primitives”, czyli tych wszystkich współcześnie praktykujących ćwiczenia depriwacyjne w rodzaju piercingu, ekstensywnego tatuażu czy innych ekstremalnych doświadczeń na własnym ciele. Projekt Wodiczki zdaje się sankcjonować istnienie grupy społecznej bezdomnych, zaś mój zapytuje o status społeczny osób o odmiennym stanie świadomości. Czy mogliby pracować na stanowiskach urzędników, w ogóle pracować? Czy mogliby zasiadać w parlamencie? Itd., itp.

**Lego. Obóz koncentracyjny to rzecz posiadająca zupełnie nieprawdopodobną bibliografię. Pamiętam, że współtworzyłeś ważny numer „Literatury na Świecie” poświęcony Holocaustowi. Jaki jest twój stosunek do literatury jako narzędzia, za pomocą którego próbowano i nadal się próbuje „wypowiedzieć niewypowiadalne”? Wydaje się, że współcześnie Lego mówią nam o „Holokaucie codzienności” znacznie więcej niż potrafi zrobić literatura.**

(cd. na s. 17)

## Ze Stowackim na Jurę

*Marek K.E. Baczeński*

Dostaję polecenie służbowe: wypocząć. Coś mi się ślania pod workiem cementu, powiada zatroskane naczelstwo, zwłaszcza w osiemnastej godzinie dniówki, a ręka twa, pracowniku, nie demonstruje pełnego zbratania z łopata. Nie tryskasz, słowem, radością z wykonywania obowiązków służbowych. Podobno za jednego pracownika po urlopie dwóch dają, pozbawionych urlopu. W tył zwrot! Za dwa tygodnie zgłosić się do obwąciania.

Tedy odeszliśmy, nie mając wiele do dodania. Zaiste, jedną prawdę żywota znamy wypoczęci od morza do morza, inną padłszy na pysk. W trzy kwadransy później, przycupnąwszy pod czynszową miedzą, zastrachane pracownice jestestwo wzdycha. Urlop w kryzysie? To się nie uda! Hitler kaput, Stalin pierdut, Max Weber ledwie dycha, a piszącemu te słowa nakazują wypocząć... Jakim prawem?!

Spędzam frustrującą godzinę nad stertą planiglobów. Wakacje za pięć złotych? Dobre sobie! Suma ta, pod każdym innym względem niegroźna, stwarza jednak pewien problem. Trzeźwe rozporządzenie rzeczonym majątkiem natrafia na poważną przeszkodę. Na co mogłaby owa kwota wystarczyć? Rozważania nad taką kwestią psują tylko rozum. A jednak przedsięwierzemy ów jałowity trud. Z jakiego paragrafu? Ano z dwóch przyczyn. Po pierwsze: w ramach trapiącej nas ciekawości. Po drugie: zbiegiem okoliczności tyle właśnie mamy.

Globus Katowic? Z głębokim żalem. Niemniej wyrażamy obawę, że nam się nie przyda. Przewodnik po martwym punkcie T.S. Eliota? Znamy to miejsce. Niczym własną kieszeń. O nomadyczne przekleństwo wakacji! Bezmyślny przemysł turystyczny! Dlaczego nie ma *all included* za pięć złotych? Zapewne musi być jakiś powód. Jeśli nie powód, to przynajmniej przyczyna.

Jedna wycieczka przychodzi mi na myśl. Filizanka kawy, *nekya*, *imram* i 50 groszy reszty. Żywi nie tracą nadziei. Żywi jej nie mają.

Raptem wpada nam w ręce nieśmiały folder. Czytamy wstęp: „obszar, na którym lepiej niż gdzie indziej zaznać można bogactwa natury”. Przecieram oczy. Chryste Panie! Nie znika! Biorę zimny prysznic. Literki stoją dalej... Cholera jasna! Mój obszar!

Szczęśliwym trafem nie żyje się w kipczackim stepie. Natura technie, kędy chce; kędy nie chce – sypie. Sypie mianowicie, co ma najlepszego. To nie jest tak, żebym nie ufał swemu, cudze natomiast wyznosił pod niebiosy. Co się tyczy mej ziemi, uważam – nie bez pewnych racji – że nawet psie kupy leżą tutaj z większą godnością, niżeli leżałyby gdzie indziej. Piękny okrawek niniejszej planety. Nie wiedziałem tylko, że aż tak. Jak tu uwierzyć w stoicką doktrynę o wielości światów? Skoro tego splachetka człowiekowi aż nadto? Zresztą co ja wam będę prawił farmazony. Sięgam do słów poety, tego samego, który poczynił wstęp do naszego foldera: „osobliwe krajobrazy, fauna, flora

(cd. na s. 13)



## Lokalne sprawki

*Edward Pasewicz*

„Miejsce” na ulicy Estery. Kazimierz. Kraków. Wczesne popołudnie. W kącie sali chłopcy rozprawiają o zaletach wiśniówki. Kreatywni Kretyni z jakiejś agencji reklamowej pracują na trzech laptopach. Kiedy któryś się odzywa słyszę odpowiedź: „Zamknij się, wyślij maila!”

Trochę w bok od nich feministyczna pisarka (napisała już trzy notki na blogu, więc pisarka) pichci kawałek krytycznoliteracki. Zastanawiam się, jaki będzie miał tytuł, ale ponieważ jej blog ma w tytule coś z huraganem, trąbą powietrzną (słyszałem, bo podawała głośno adres bloga), wołę zaprzestać dociekań. Poza tym mam wrażenie, że ona czymś obrasta, jakby futerkiem i trochę żal patrzeć jak mężczy się nad „krytycznoliterackim kawałkiem”. Co jakiś czas dzwoni do swoich przyjaciółek, by się poskarżyć, jak ciężkie jest życie feministycznej pisarki. Kiedy to mówi, patrzy na mnie, bo najwyraźniej ja, ze swoją goryłowatą samczą i żarosiętą mordą, najbardziej jej przeszkadzam.

Kreatywni Kretyni pewnie jej nie przeszkadzają, bo są kreatywni. „Kreatywność” ich widać na pierwszy rzut oka. Bardzo kreatywne zapachy, ubrania i fryzury. Kreatywne są też ich laptopy i napoje. Pisarka feministyczna, wzdycha do owej „kreatywności”, ale pewnie woli, żeby na miejscu Kreatywnych Kretynów siedziały Kreatywne Feministki.

Pisarka się frustruje i robi miny, kiedy do mojego stolika przysiadła się kolega, który patrzy

na nią zdziwiony, ponieważ ona do swojego telefonu mówi rzeczy intrygujące. Otóż mówi: „Nawet nie wyobrażasz sobie, jak mi jest źle w tym ciebie, nie jesteś w stanie ogarnąć, mówię ci”. Kolega półgłosem pyta mnie, kto to i co ona brała. Ja opowiadam, co wiem.

Pisarka krzywi się, gdy słyszy, że o niej mówimy, więc staram się przyjąć taką intonację, że niby podziw, że doceniam, że wierzę w talent i tak w ogóle, i że zaraz padnę na kolana. Chyba się na to łapie i uśmiechnięta wraca do dziergania swojego krytycznoliterackiego tekstu. Kolega zamawia piwo.

Minuty mijają, przybywa wypitych piw. Chłopcy stają się coraz bardziej interesujący. Telefony pisarki do koleżaneczek z bieżącą informacją na temat prac dzierganych też się intensyfikują. My z kolegą oddajemy się obserwacji. Kreatywni Kretyni w pewnym momencie kończą pracę, zamykają na raz dwa trzy laptopy, wsuwają je na komendę do toreb i zamawiają wiśnióweczkę. Ich rozmowa schodzi na tory religijne. Obrońcy krzyża, Izyda, Horus, Ojciec Dyrektor.

Bardzo kreatywna rozmowa, podsłuchiwana namiętnie przez pisarkę i przez nas. Dowiadujemy się na przykład, że Szatan to w rzeczywistości Bóg Seth, a to, co jest na Hostii wypisane (IHS), znaczy: Izyda-Horus-Seth.

Mój kolega jest zaskoczony wysublimowaną wiedzą, ale po kilku „zimnych Leszkach” nie takie rzeczy da się znieść. Przełykamy Izydę i Seta. Horus niech sobie pływa w tytoniowym dymie na wieki. Pisarkę chyba oślśniło, bo zawzięcie stuk w klawisze.

(cd. na s. 13)



## Daj odzignąć

*Jacek Bierut*

Tok myślenia poety (oczywiście, bywają najwyższej toki myślenia niektórych poetów, częściej są to zapewne zwykłe bądź niezwykle intuicje) jest procesem co najmniej podejrzany. Czytam choćby Przybosia („pragnął tylko takiej sławy, / żeby uczyniła zbędną jego fizyczną obecność”) ze sporym zażenowaniem (wynikającym głównie z faktu, że Przybós tak mocno ufał w pracomocność swojego toku myślenia o sposobach przekładania świata – głównie swojego świata – na wiersz, Swój Wielki Wiersz). To otwieranie nam oczu „szeroko na szerokość” irytuje nie tylko swoim zadętym sposobem realizacji tego otwierania, ale przede wszystkim zadziwiająco pewnością, że sposób ten jest jednym z nielicznych właściwych, świeżo odkryty (bardziej odkryty niż wynaleziony). „Każdy kwiat jest nagrobny” – czytamy – „I beżmie się ustala”, choć się na szczęście nie ustala, buntuje się przeciw takiemu ustalaniu, bo takie rzeczy chciałoby się przeczytać napisane zupełnie inaczej. I właśnie ta chęć, poczynając co najmniej od baroku – jest (nadal cytuję Przybosia: „z zapadni do wyrzutni”) motorem poczyniła najważniejszych w mojej ocenie poetów. Poeci bowiem z zadziwiającym uporem i z podejrzanych przyczyn układają wciąż na nowo te same domki z kart. I – żeby już powoli kończyć nieczne pastwienie się nad Przybosiem – na szczęście wciąż zwykle się myślą. Nie widać końca tej zadziwiającej i podejrzanej roboty. To jest pocieszające. Przybós na przykład lubił dać świetny obraz, choćby dwa słońca (rosło!) – jedno prawdziwe, drugie odbite w błyszczą-cym ostrzu „pługu z dyszlem”. Kto chodzil



za jednoskobowym plugiem zaprzęgniętym nawet w parę koni, wie doskonale, że w takim akurat zaprzęgu nie używa się dyszla. Tak że „idąc ogromnie ku horyzontom” jest tu wtrąceniem dość zabawnym, bo cóż warta taka wydumana, niefizyczna ogromna wędrówka? I kiedy w innym wierszu tego poety czytamy: „Zyjąc – wdychałem aż do krwi krajobraz za krajobrazem, / gdziekolwiek spojrzę, pulsuje we mnie ich widok, / tak że gotów jestem przyjąć od ziemi swój grób z zaufaniem”, możemy sobie nadal żyć po dawnemu, spokojnie zapominając krajobrazy, które kiedyś tak nas zachwyciły bądź zmartwiły, bądź były nam obojętne, bo nic przecież nie zostało ustalone. Nic, włącznie z trzema smutkami nazwanymi wprost w prościutkim wierszu Jana Skacela: „nie wiem gdzie umrę, nie wiem kiedy, / co będzie potem”.

Siła poezji, która bez dyskusji wciąż rośnie, choć coraz mniej osób z niej korzysta i ma tego rozwoju świadomość, kręci się w granicach, które tu tak skróciwo zasugerowałem. Tok myślenia poety (częściej po prostu jego intuicje) to tylko przetasowanie używanej talii. Wciąż bardziej liczy się efekt niż drogi dojścia do wiersza. Efekt to wywołanie w umyśle wytrawnego odbiorcy (gdzieś obok jego świadomości) wrażenia nierealnej przestrzeni, i energii rekompensującej tę część przestrzeni i energii realnej, której istnienie odczuwamy, ale nijak nie możemy jej w zadowalającym stopniu zwerbalizować. Przy czym umysły wytrawnych odbiorców i niewerbalizowalne wolne pola wciąż ulegają modyfikacjom, spuchnieniom. Pomyłki poetów, również pomyłki ich toków myślenia, są zatem motorem samodoskonalenia się owych umysłów i pól, w pewnym stopniu motorkiem samodoskonalenia się i reszty cywilizacji. Stos przewróconych domków

(cd. na s. 13)

## Tylko cud

*Szczerpan Kopyt*

Podobno ludzie lubią słuchać kawałków czytanych przez pisarzy. Podobno pisarze potrafią je czytać. Podobno na spotkania przychodzi tłumy czytelników. Podobno, zwłaszcza na festiwalach literackich, sale pękają w szwach. Podobno chłopcy się czerwienią. Podobno dziewczętom robi się mokro. Podobno to lans tam się pokazać. Podobno: literatów nigdy za wiele na spędzie! Podobno to lans znać tych, których nie wypada nie znać. Podobno takie osoby istnieją. Podobno to z tego biorą się legendy. Podobno z anegdot przeistaczają się egdoty i wtedy akapit taki jak ten można przeczytać bez słówka „podobno”.

Hm... Podobno czytelnictwo w Polsce ma się świetnie. Podobno statystyki dawno przestały być alarmujące (a statystyki nie kłamią). Podobno biblioteki dawno przestały mieć problemy. Podobno w szczególności nie mają problemów z zaopatrzeniem. Podobno książki stają się coraz tańsze i łatwiej dostępne. Podobno w publicznych szkołach lekcje etyki są obowiązkowe w równym stopniu co wychowanie seksualne. Podobno zawsze będzie to brzmieć gorzko i wyraz „podobno” będzie sponsorował dzień, w którym zdarzy się wam o tym pomyśleć. Aha, aha.

I jeszcze tak. Podobno czytelnictwo w Polsce, z którym jest tragicznie, poprawia spotkania i festiwale literackie, na których literaci są nudi i czytają nijak to, co podobno jest jednak dobrą literaturą. Podobno literatura zawsze miała przechlapane (ale to nie prawda [ale przyjmijmy, że prawda – coś nią

musi być]), więc nie jest kwestią tylko braku reklamy tych imprez fakt, że literaci czytają najczęściej do rzędów pustych krzeseł i dla kilku koleżanek i kolegów. Podobno chłopcy się nie czerwienią, bo nie chodzili na etykę, a dziewczętom nie robi się mokro, gdyż ci sami chłopcy nie chodzili na wychowanie seksualne (można też pomyśleć odwrotnie i inaczej) i to dlatego literatura nie jest w stanie nic im dać.

\*

A podobno idzie to jednak tak. W Polsce absurd w życiu publicznym prześciga literaturę o lata świetlne. Słowo mówione goni słowo mówione. Komentatorzy komentują komentowanych, komentujących tych drugich, kimkolwiek by byli ci drudzy i trzeci, którzy także komentują – a co na to ci pierwsi? Prawdziwy urodzaj performatywów. W gruncie rzeczy istnienie papierowej prasy nie podważa tego, że zaspokojenie potrzeb literackich stało się ciężką robotą mediów gadanych. Prasa dyszy tylko, nie nadążając za wartkim tempem akcji, ale jej istnienie nie jest odstępstwem od gadanych narracji medialnych. Wręcz przeciwnie – to zwyczajny cud.

*Szczerpan Kopyt*

(ur. w 1983 r.), poeta i muzyk yassowy. Laureat X edycji (2004) Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Jacka Bierezi. Wydał dotychczas trzy książki poetyckie: *[yass]* (2005), *[yass]/możesz czuć się bezpiecznie* (2006), *sale sale sale* (2009), za którą otrzymał nominację do NL GDYNIA (2010). Mieszka w Poznaniu.





## Wystawić się na działanie świata

z Andrzejem Stasiukiem rozmawia Maciej Robert

**Maciej Robert: Od wydania *Taksimu* minął rok. Zdążyłeś już oderwać się od Pawła i Władka, zapomnieć o nich, czy wciąż o nich myślisz?**

Andrzej Stasiuk: Myślę. Lubię ich. Razem się starzejemy.

**Wracasz w ogóle do swoich książek? A może nie przejmujesz się tym, co już wydane?**

Czasami o nich myślę, ale nigdy nie czytam. Zapominam. Piszesz po to, żeby się uwolnić od natręctw, od obsesji. I jak skończysz, to się ta opowiedziana historia natychmiast robi nudna, nieciekawa – zaczynasz myśleć o następnej. Tak to działa. Musi się dziać!

**Powracasz za to do bohaterów – Paweł, narrator i główny bohater *Taksim*, był protagonistą *Dziewięciu*. Wiele postaci drugoplanowych, pojawiających się w *Taksimie*, można znaleźć też w dwóch poprzednich książkach. Skąd to przywiązanie do nich?**

No, z przywiązania właśnie. Z czułości. Z wdzięczności, bo dzięki nim moje własne życie było trochę większe, wielokrotne. Ze strachu przed samotnością, bo kto wie, w jakim towarzystwie przyjdzie mi umierać? Układy międzyludzkie z tymi postaciami są bardzo skomplikowane.

**Czy można zatem liczyć, że Paweł, Wladek czy Boss jeszcze kiedyś powrócą?**

Tak. Myślę, że tak. Poza wszystkimi innymi rzeczami chcę jeszcze napisać jedną powieść. Właśnie z nimi wszystkimi, za jakiś czas. W Zadzuszki się będzie działo.

***Taksim* powstawał przez dziesięć lat, skokami, pomiędzy twoimi licznymi podrózkami i pisaniem kolejnych książek. Ta fragmentaryczność odbija się na nieco poszatkowanej narracji, nie ma tu wyrazistej linii fabularnej. To celowy zabieg?**

Dość wyrazista jest tam ta linia. Może tylko niezbyt pospieszna, niezbyt nachalna. Dość wyraźne trzy plany czasowe mamy, które pod koniec przepadają w jednym, te-

rażniejszym powiedzmy. Zacząłem od tego, że wyobraziłem sobie narratora, jego twarz, postać, głos, zmęczenie i jego język – reszta była tego konsekwencją. To jak z muzyką: znajdujesz tonację i potem trzeba się tylko pilnować, żeby z niej nie wypaść. No ale rzeczywiście trochę to trwało. Zacząłem pisać, gdy chłopcy mieli koło czterdziestki, a skończyłem, gdy dobiegali pięćdziesiątki. W tym czasie rzuciłem palenie, ale nie chciałem tej przyjemności odebrać narratorowi. Nie chciałem też, by zmienił mu się głos.

**Niezbyt pospieszna narracja i wielość planów czasowych mogą utrudniać ewentualne prace nad adaptacją filmową. Uważasz, że *Taksim* da się przerobić na scenariusz? A może – po *Gnojach* i *Winie truskawkowym* – niechętnie patrzysz na takie próby?**

Jakoś nie spędza mi to snu z powiek. Lubię kino, ale bez przesady. Tamte filmy robiłem dlatego, że wydawało mi się, że potrzebuję pieniędzy. Jestem umiarkowanym kinomanem. Oglądałem ostatnio właściwie tylko westerny i trochę rosyjskiego kina. Na przykład w kółko *Kalinę Czerwoną* Szukszyna. Dziwne, nie? Piękne kino. Dzisiaj nikt takiego już nie robi. To mnie napędza przyjemnym spokojem.

***Taksim* to pierwsza twoja powieść od dziesięciu lat. Zastanawiam się, na ile był ci potrzebny powrót do formy powieściowej? Nie dało się *Taksimu* zamknąć w nader ci bliskiej esejystyce reporterskiej, formie dużo bardziej osobistej?**

Myślę, że forma powieściowa też może być bardzo osobista. I taka zresztą była w *Taksimie*. Mówiłem osobiste rzeczy cudzym głosem. Wiesz, to nie są powroty do tej czy innej formy tylko, powiedzmy, pewna symfoniczność opowieści. Te formy w literaturze już od dawna się przenikają. Nie

ma czystości gatunkowej. Mamy swobodę, z której korzystamy. *Taksim* można czytać jako dalszy ciąg *Dziewięciu*, albo jako kontynuację *Babadagu*. Albo jako jedno i drugie.

**Domyślam się, że głównym powodem sięgnięcia po prozę fabularną była chęć przedstawienia ogromu opowieści. Bohaterowie *Taksimu*, przede wszystkim Wladek, snują bez końca swoje historie, „zagadują świat”. Przypominają się więzienne opowieści z *Murów Hebronu*. Ale też przypominają się największe dzieła literatury, która stoi przeciw przekazywaniu opowieści. Dlaczego klasyczna narracja odchodzi w zapomnienie, dlaczego dar opowiadania zanika w dzisiejszej literaturze, przez co staje się ona raczej wivisekcją ducha niż żywiołem mowy?**

Trudno powiedzieć, dlaczego opowieść jest w odwrocie. Może pisarze – jak reszta ludzi zresztą – stali się bardziej egocentryczni, bardziej zajęci sobą. To jest powszechna choroba. To podskakiwanie, pokrzykiwanie, że tutaj jestem, patrzcie, tutaj, jedyne, niepowtarzalny, wyjątkowy ja! Każdy chce opowiedzieć o sobie i wydaje mu się, że to jest interesujące. Otóż nie jest. Natomiast jest zrozumiałe, bo wszystkich ściga lęk przed nicością, przed nieistnieniem. Świat się robi jak Kalkuta albo Pekin. Jesteś jednym z miliarda i praktycznie w tej skali nie istniejesz, nie masz żadnego sensu. Te wszystkie rzeczy, które pozwalały ci sensownie istnieć – religia, hierarchia – odeszły. Więc trzeba podskakiwać i wykrzykiwać, żeby nie umrzeć ze strachu, z samotności. To odbija się w literaturze. Chociaż moim zdaniem literatura powinna mieć jednak trochę więcej godności, trochę więcej heroizmu – niechby i anachronicznego. Nie lubię tej chlipaniny na własny temat. Ze na przykład jakiś bi-



dulek musi się męczyć w korporacji. Myślę: „a dobrze mu, jak tam poszedł”. Ja zawsze chciałem, że się tak wyrażę, wystawić się na działanie świata. Może jestem idiotą, ale lubię ten świat, lubię go bezwarunkowo, oraz próbuję oddać jego, nie bójmy się tych słów, wspaniałość i grozę. A do tego potrzebna jest ciekawość świata. Potrzebna jest wiara w to, że niczego lepszego już nie dostaniemy, i że ta szansa jest jednorazowa. Reszta to pitolenie. Jak w wierszu Herberta o hotelu, tapetach i rozbitym dzbanku. Tak. A świat w tej swojej paranoicznej cudowności potrzebuje właśnie heroicznych narratorów, bohaterских gaduł, błazeńskich świętych epiki. Jak mój Wladek z *Taksimu*.

**Uważam *Taksim* za twoją najważniejszą książkę. Lub, uciekając od jakościowego wartościowania, najbardziej pojemną. To jakby wszystkie twoje książki w jednej. Jest tu i potęga opowieści z *Murów Hebronu*, i męska przygoda z *Białego kruką*, i podszyty metafizyką mit galicyjskości zanurzony w prowincjonalnym sosie *Opowieści galicyjskich, Dukli i Zimy*, i humorystyczna nostalgia *Jak zostałem pisarzem*, i powieściowa, niemalże sensacyjna formuła *Dziewięciu*, i fascynacja podrózkami i „inną Europą” z *Jadąc do Babadag czy Fado*. Czyżby zatem opus magnum?**

Po prostu przybywa kolejnych warstw, pojawiają się kolejne kręgi opowieści, kolejne języki. Jak w życiu. Coraz więcej pamiątek, śmieci, gratów, rzeczy nikomu niepotrzebnych, ale bez nich życie nie miałoby smaku. Może po prostu literacka materia gęstnieje z wiekiem. Nabiera ciężaru.

**Jest też poezja. Nie tylko z *Wierszy miłosnych i nie*, ale też ta poezja „roztopiona” niejako w bardziej melancholijnych fragmentach twojej prozy. Dawno temu, w 1996 roku, w rozmowie ze Stanisławem Beresiem mówiłeś o gotowości wydania kolejnego tomiku poetyckiego. Mija czternaście lat i nic. Zarzuciłeś ten pomysł, czy może**







# NEON

## Kotka antykwariusza

*Zyta Rudska*



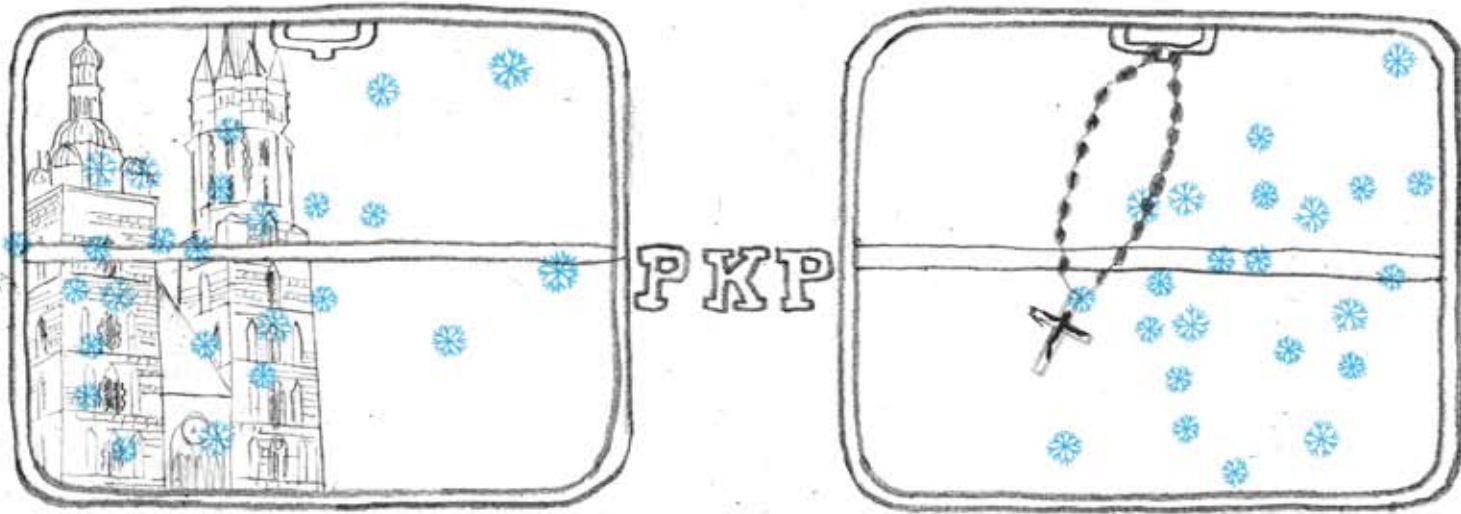
Gdyby nie daj Bóg się przewróciło, nie, samo z siebie to nigdy, ale na ten przykład podczas rodzinnej wymiany zdań – wystarczy nacisnąć butem na nóżkę. O... I hop. Stoi. Widzi klientka. Takie cacko. Młaska rozradowany nad starym krzesłem. Żyłasty. Wyschnięty. O ustach ruchliwych tylko z prawej strony. Krzaczące brwi opierają się na oprawkach okularów, sterczą ponad szklami. Niektóre z włosów, szorstkie i wybujałe, docierają do sklepienia nosa. Do opuchniętej twarzy. Do nosa – z kością tak wydatną, że wydawało się, że jeszcze jeden grymas, a przebijie skórę. Widzi klientka. Takie cacko. Powtarza wolniej. Odsuwa krzesło. Patrzy na mnie, jakby dopiero teraz odkrył moje dziewiętnaście lat. Sztuka tu się dzieje. Sztuka i sztuczki. Odzywam się. Z przymusu. Przez zaciśnięte usta. Czuję ciężar. Jakby wszystkie trzewia wywracały się na lewą stronę. Chciały zreć same siebie. Powstrzymuję wymioty. Nie chcę widzieć jego szarych, opadających spodni. Parcianego paska. Koszuli, niegdyś białej, teraz żółtawej. To ona, a nie spodnie, wydziela zapach źle spranego moczu. Sunie w stronę biurka. Pcha swój balkonik, rusztowanie dla wiotkiego ciała. Mija mnie jego jajowata czaszka porośnięta suchymi pojedynczymi włosami. Nie skrywają sińców. Ropnych zadrapań. Granatowych, prawie czarnych zgrubień. Wodnistych narośli. Sama twarz wydaje się być zsztywniała z kilku kawałków skóry. Pokryta siatką nacięć na policzkach, podobnych skaleczeniom brzeżem kartki. Policzki jak żaboty. Zwisające luźno. Chwiejące się za każdym poruszeniem ciała. Bibułkowe powieki. Butwieje wzdęty chorobą brzuch. Zatrzymuje się w świetle okna. Na brudnej szybie wspinają się samosiejki. Rachityczne. Sine. Za nimi stoi mój skarb, z ulicy wydawał się większy.

Lata sześćdziesiąte. Oceniam na głos. Zbliżam się i biorę w ramiona. Zakurzony. Ciężki. Neon. On patrzy przez okno. Widzę damę, podrywam się i na ulicę, z uszanowaniem zagajam... A, ta, że ziemniaki nastawiła, i w nogi. Ziemniaki nastawiła. Kiedyś same się nastawiała. Milknie. Ciało, wydrążone niby wierzba, wydobywa ze środka stłumiony, głuchy chichot. Zaśmiewa się. Śmiech przechodzi w kaszel. Wargę drga jak u narowistego konia. Marszczy się. Unosi. Ukazuje dobrze zrobione zęby, oblepione resztkami jedzenia. Świeci? Pytam głośniej. Niestety nie działa. Kiedyś mrugał, krzeselko podskakiwało. W górę, w dół. Ilu klientów mi naraił. I się robiło. Stuka palcami w blat stołu. Poci się obficie. Ciekawe liternictwo. Zdzieram politurę kurzu. W górę, w dół, w górę. Na dachu, ale wtedy to nawet przyroda miała ludzką twarz. Dopowiada. Wyciera czoło wierzchem dłoni, potem dotyka koszuli, na brzuchu. Z bliska jeszcze bardziej czadowy... Mówię cicho, do siebie. Tych całych trąb nie było, huraganów. A teraz... Musiałem zdjąć, w pracowni postawić. Trochę uszkodzony. Ale forma znakomita. Wystarczyło, żeby klient usiadł. Nie było mocnych, z miejsca kupował. Takie krzesła robię. Krzesło to kategoria władzy. Odzywam się, patrząc mu w twarz. Mój głos jest zbyt donośny. Dla władzy też robiłem. Do kompletu z okrągłym stołem. Trzy miesiące dzień, noc, nie spało się, jak mus to mus, trzy miesiące dzień, noc.



Mruży kleiste oczy. Uśmiecha się, pokazując brązowe dziąsła. Broda drży. Co to dla pana. Uśmiecham się do jego pleców. Tylko jedno odzyskałem, no niech klientka tu... Przekrzywia krzesło. Nachylam się, prawie kucam. Tu siedział... Opozycjonista. Widzi klienta podpis? Sprytnie, nie? Nie wiesz, nie odkryjesz. Rysa płytka... nierówna... nożem z bufetu musiał. Towar nie trefny, za rok, dwa każde muzeum to krzesło kupi. No i w dechę, będzie pan miał masę kasy. Miał. Będzie jak z magłem, kapeluszniką i rymarzem. Kiedyś w którą stronę iść, wszędzie usługi. Tylko w tym podwórku były trzy zakłady. Dziś tylko ja. I się robiło. To nie jest prosty fach, trzeba myśleć. Każdy mebel inny i nie lubi, jak go pociągnąć nie tym, co trzeba. Usta drgają w znanym mi już tiku. Niech pan mi sprzeda ten neon. Ale to jest mój szyld. Jak mnie teraz klient odnajdzie? Przecież nie świeci. Sam pan mówił. A klientce on po co? Zbieram stare neony. Ale klientka wymyśliła. Mam już „Agatka”, „Supersam”, „Globus”. Durnota. I po co? Człapie znowu. Od okna w głąb sklepu. Wymęczony. Niby prosto z pociągu. Po długiej wyprawie. Porusza się ostrożnie, jakby cały w środku był pogruhotany. Głowa niebezpiecznie podskakuje. Nie pasuje do korpusu, wydaje się być siłą nasadzona na sflaczałą szyję. Chcę zrobić wystawę. Przystaje, opierając ciało o wystające meble. Powoli, prawie niezauważalnie osuwa się.

Jakby coś go ciągnęło na stronę snu. Wrywało czuwaniu. Wydaje mi się, że przysnął, uwieszony konstrukcją chodzika. Ale zaraz otwiera oczy i mówi rozmiękczoneg głosem. A co po wystawie? Jak to co? Niech ludzie zobaczą trochę żywej historii. Miasta pełne były... Przerywa. Ale ja się pytam: Co po wystawie z moim neonem? Co z nim będzie? Jaką bajeczkę mam opowiedzieć? Dostrzegam ociężałe, zielone muchy znieruchomiałe na szafie pozbawionej drzwi. Ktoś wysmarował deski masłem. Jelczało w ciepło. Zabiorę neon do domu. Całe mieszkanie w neonach, wyobraża pan to sobie? A potem któregoś dnia, gdy przytrafi mi się coś szczęśliwego i nie będę mogła w nocy zasnąć, zapalę je wszystkie. Będę patrzyła jak pana krzeselko podskakuje w górę, w dół, w górę. Jak do mnie mruga. Przez chwilę patrzy przed siebie. Zamyka, otwiera oczy jakby w zwolnionym tempie. Spojówki mu poczerwieniały. Łzawią. Dobrze, dobrze... A niech. Twarz przybiera drwiący wyraz. Wilgotne oczy zdają się rozsadać twarz. Super. Ale się cieszę. Dobrze, dobrze... Pieniądze się przydadzą. Od czternastego roku życia tu pracuję. Sprzedaję. Dobrze i miesiąc dłużej do zakładu przychodzić. Wstaję przed budzikiem. Przez podwórko i jestem w pracy, a pracy nie ma. Ale będzie. Z trudnością upycha słowa pomiędzy kolejnymi haustami powietrza. Można tu palić? A pewnie, zakurzymy sobie. Pani klientko, ja tu miałem całe Bielany. Każdy coś przytaczał, żeby grata podreperować. A ja spokojnie, jak do dziecka: To nie jest grat, to jest biedermeier. Intarsja, nie kalkomania. I się robiło.



## Koniec urlopu

*Marcin Królik*



Do odjazdu mojego pociągu zostały jeszcze prawie trzy godziny. Wilga uznała, że zamiast siedzieć w rojącej się od gołębi poczekalni albo przeczekiwać w dworcowym barze nad cienką kawą, lepiej pospacerować. Kupiliśmy bilet, oddaliśmy bagaż do przechowalni i chwyciwszy się za ręce ruszyliśmy w miasto.

Wieże Kościoła Mariackiego brodziły w chmurach spiętrzonych nisko nad zatłoczonym Rynkiem. Prosił drobny śnieżek, okrywał płyty chodnikowe i bruki koronkową warstwą bieli. Skręciliśmy w Świętego Jana i weszli w mroczną bramę, gdzie mieścił się sklep „Herbaty Świata”. Na szyldzie obok nazwy widniał ideogram, który nic nam nie mówił, ale wywoływał przyjemne wrażenie egzotyki.

Wypełnione miękkim orzechowym światłem wnętrze pachniało tak upojnie, że traciło się chęć do wychodzenia w mroźną, odrealnioną przez chmury przestrzeń. Można było tam znaleźć prawdziwe rarytasy zamknięte w metalowych puszkach opatrzone niezrozumiałymi napisami. Młoda pulchna ekspedientka skrupulatnie odmierzała aromatyczną zawartość do papierowych torebek, które następnie kładła na wagę. Kupiłem piętnastogramową torebeczkę chińskiej herbaty wędzonej. Opuściliśmy sklep z ociąganiem, łowiąc na zapas ostatnie kłaczki herbacianych woni.

– Czemu zawsze kupujesz ją w Krakowie? – zaciekała się Wilga. – Na pewno można ją dostać wszędzie.

– Możliwe, ale jej smak i zapach kojarzy mi się z Krakowem – wyjaśniłem. – Tu piłem ją pierwszy raz.

– Nie wiem, jak możesz pić takie okropieństwo. Pachnie jak dym z ogniska.

– To właśnie jest w niej wspaniałe.

Wilga z powątpiewaniem pokręciła głową.

– Nie dość, że przesiąka nią cała kuchnia, to jeszcze smakuje jak cholerny popiół – orzekła sceptycznie.

– Dziś wieczór zaparzę sobie cały kubek. Będzie mi przypominać o tobie.

– Będiesz za mną tęsknił?

– Czeka, niech no się zastanowię... – wyjąłem wargi w geście teatralnego zamyślenia.

– Ty stary draniu! – szturchnęła mnie w bok.

Mimo tych żartobliwych przekorzeń ogarnęło nas przygnębienie. Ścisnęło mnie w dołku i ledwie powstrzymałem samotną palącą łzę cisnącą się pod powiekę.

– Do diabła z tym wszystkim! – wycedziłem.

– Z czym?

– Z tym, że muszę wyjechać. To jest cholernie niesprawiedliwe.

– Tak – przyznała.

– Czuję się prawie tak, jakbym umierał – wyznałem bezbarwnym głosem.

– Kochanie – Wilga przywarła do mnie mocno – ani się obejrzyj jak czas minie i przyjdzie wiosna.

– Wiosna? Jezu, kiedy to będzie?

– Złeci, ani się spostrzeżesz. Pozalutwasz tam wszystkie swoje sprawy i najpóźniej w maju przeprowadzisz się tutaj. Znajdziemy ci pracę.

Poczułem zobojętnienie, kompletną pustkę w środku – jakby wydrenowano ze mnie resztki duszy. Ogluszeni, wyłączeni z pędu świata, zamroczeni dręczącym nas smutkiem błakaliśmy się wśród przechodniów niby potępińcy. Nie chcieliśmy niczego słyszeć, rozumieć ani udzielać wskazówek nagabującym nas o drogę turystom. Wybiło południe i trębacz na wieży zagrał hejnał. Ale on też nic nas nie obchodził. Podobnie gdzieś mieliśmy kłęczących wzdłuż Floriańskiej żebraków z tekturowymi tabliczkami zawieszonymi na piersiach i wystawionymi na krawężnikach miseczkami, w których połyskiwały drobne monety wrzucane głównie przez Japończyków i Amerykanów.

Kwadrans przed godziną odjazdu wróciliśmy na dworzec i odebraliśmy mój bagaż. Wilga odprowadziła mnie na szary zimny peron, gdzie czekaliśmy na pociąg mający nadjechać z Płaszowa.

– Sporo ludzi – zaniepokoiła się.

– Wracają z ferii.

– Obyś miał gdzie siedzieć. Może jednak powinienś być odzalaować trochę gotówki i kupić bilet na ekspres.

– Coś ty, tam wszystkie miejscówki już dawno mają zarezerwowane.

Nadjechał pociąg. Nim pracy tłum zdążył nas rozdzielić, pocałowałem Wilgę w usta i pogładziłem po włosach wymykających się spod granatowej włóczkowej czapki.

Odszukałem wagon drugiej klasy, przepchnąłem się do wąskich drzwi i wcisnąłem do środka.

Zgodnie z podejrzeniami Wilgi, w żadnym przedziale nie było wolnych miejsc. Umościłem się na korytarzu. Przycupnąłem na opuszczanym siodelku, a torbę wzięłem pomiędzy kolana. Wałczy ze wszystkich kierunków strumień podróżnych gęstniał wokół mnie i wkrótce przestałem widzieć

cokolwiek oprócz ich kurtek, butów i zagrządzających wąską arterię korytarza tobołków. W moim gniazdku było mi całkiem wygodnie i wszystko wskazywało, że przetrwam tę gehennę bez większych wstrząsów. Sporadycznie zawadziła o mnie jakaś narta albo ktoś nadepnął mi na stopę. Przez gwar przebił się komunikat obwieszczający nasz odjazd. Skład szarpnął i potoczył się po szynach. Poczułem, jak przenika mnie wibracja nabierających szybkości wagonów.

Pędziliśmy przez gasnącą biel popołudnia. Monotonny stukot kół wprawiał mnie w dziwny letarg, półsenną tępotę uwalniającą od przymusu myślenia i wspomnienia minionych dwóch tygodni wypełnionych wszystkim, co robiliśmy razem z Wilgą od rana do późnej nocy. Zatarła się ciągłość czasu i prawie nie zauważałem kolejnych stacji, na których pociąg się zatrzymywał. W końcu głowa opadła mi na pierś i zacząłem drzemać. Jawa wymieszała się ze strzępkami snów. Była w nich Wilga smażąca jajecznicę na śniadanie. Otrząsnąłem się. Płacz, a właściwie szloch szamotał mi się w przelyku, potknąłem go jednak.

Nagle ktoś położył mi rękę na ramieniu. Był to szpakowaty mężczyzna ubrany w elegancki wełniany płaszcz. Pachniał markową wodą po goleniu.

– Przepraszam, czy nie ustąpiłby mi pan miejsca?

Zgodziłem się. Wstałem i obróciłem twarz do okna. Mimo gęstniejącego mroku śnieżna gładź lśniła matową jasnością. Przesuwający się za szybą pejzaż był nieruchomy, jednostajny, pusty za wyjątkiem rozsianskich z rzadka czarnych wysepek zagajników, martwy. Na jałowość widoku nakładało się widmowe odbicie mojej twarzy i jeszcze bardziej odrealnione widma sylwetek współpasażerów.

Z ponurej kontemplacji wyrwało mnie pociągnięcie za kurtkę. Znowu człowiek w czarnym płaszczu.

– Popilnuje mi pan miejsca?

Kiwnąłem głową.

– Skoczę do Warszawy na jednego szybkiego. A może napiłby się pan ze mną?

– Dziękuję, nie.

– Naprawdę nie chciałby pan nic łyknąć?

– Nie.

– No daj pan spokój. Ja stawiam. Bez obrazy, ale wyglądasz mi pan na takiego, któremu przydałby się drobny klin.

– Nie piję – powiedziałem z naciskiem.

– Abstynent? – nacierał tamten.

– Po prostu nie jestem dziś w szczególnie towarzyskim nastroju.

– Jak pan uważa. Ale w porządku, nie będę się narzucał. Wróć za jakieś pół godzinki, może kwadransik.

Wrócił po godzinie leciutko podchmielony.

– Pan mi wygląda na takiego odrobinę świętoszkowatego – wybełkotał.

– Możliwe – wzruszyłem ramionami. – Nic na to nie poradzę.

– A ja tam nie jestem święty i wcale mi się do nieba nie pali – ciągnął swój wywód. – Trzeba korzystać z życia.

– Pozwoli pan, że będę korzystał na swój sposób?

– Ej, no nie bądź pan taki urażliwy. No, już się zamykam.

Ale po chwili zaczął snuć swoją mamrotliwą opowieść o tym jak skończył Wyższą Szkołę Morską w Gdyni i jak pływał na wielkich kontenerowcach po wszystkich morzach kuli ziemskiej. Rozpościarał malownicze widoki portów na Jamajce, gdzie wyposzczone

przymusowym celibatem marynarz może znaleźć burdele z najgorętszymi dziewczynami. Opowiadał o swoich trzech nieudanych małżeństwach, przykazuje mi, abym pamiętał, że większość kobiet to wyrachowane dziwki dybiące na twój portfel i gotowe przyprowadzić ci rogi, gdy tylko odwracasz wzrok.

– A wiesz pan dokąd teraz jadę?  
– Aż boję się pytać.  
– A na Wybrzeże. Do dziewczyny. Mówiłem panu, że życie trzeba wyciskać do ostatniej kropelki.  
Przytaknąłem. Na szczęście za czterdzieści minut pociąg dojeżdżał do Warszawy.  
– Ona jest bardzo szykowna. Lekarka. Świata za mną nie widzi. Ma niby męża, ale to taki zwykły fagas. Co, że niby grzech, tak?  
– Czy ja coś mówię?  
– Wystarczy, żeś mnie pan obciął tym prokuratorskim spojrzeniem. Ale ja to pieprzę. Ona mnie kocha.  
– Podobno wszystkie dotąd chciały tylko pana forsę.  
– Nie, nie ona. To jest anioł nie kobieta. A jaka rozbrykana w łóżku! W pale się panu nie mieści.

Wreszcie widząc, że nie wywarł spodziewanego wrażenia, dał spokój. Znow pogrążyłem się w ciężkiej kontemplacji zimowego krajobrazu. W oddali migotały pomarańczowe światła, słupy trakcyjne wyglądały jak ogryzione z mięsa kości. Było mi duszno. Marzyłem, żeby wreszcie wysiąść. Miałem nadzieję, że stracił chęć do wywnętrzeń. Chyba nie zniósłbym kolejnej ballady, a nie lubiłem być niemilf.

Jednak po pewnym czasie znow pociągnął mnie za kurtkę. Odwróciłem się gotów tym razem odparować mu stanowczo, żeby się odwalił.

– Ma pan coś do picia? – wysapał.  
Wyglądał niedobrze. Twarz mu pobladła i oblewał ją gęsty pot.  
– Odpowiada panu woda z sokiem wiśniowym?  
– Może być – jęknął. Cokolwiek się z nim działo, robiło postępy.  
Otworzyłem torbę i wyjąłem plastikową butelkę soku z wodą mineralną. Podając mu ją, uprzytomniłem sobie, że to także dzieło Wilgi. Ale nie miałem teraz głowy do sentymentów. Niepokoiłem się o człowieka w płaszczu. Wychylił duszkiem kilka tyków i oddał mi butelkę. Ręce mu dygotały.  
– Nic panu nie jest? – zapytałem z lękiem.  
– Nie... nie... – otwierał usta jak ryba wyrzucana na brzeg. – Ja... kiepsko się czuję.  
– Ale co się z panem dzieje?  
– Mam... duszności i coś uciska mnie w klatce piersiowej. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza, wyjął komórkę i wyciągnął ją w moją stronę. – Niech pan zadzwoni... do mojej... mojej... pani.  
– Pan żartuje?! Może trzeba zadzwonić na pogotowie?

– Gówno z pogotowiem. To przejdzie. Muszę tylko... muszę... No, niechże pan dzwoni i powie jej...  
– Nigdzie nie będę dzwonił! Pan potrzebuje lekarza.  
– Ona jest lekarką – wychrypiał słabym głosem.  
– Niech to szlag! – warknąłem. – Słuchaj! – zwróciłem się do chłopaka w polarowej bluzie. – Popilnuj go, a ja polecę poszukać kierownika!  
– Okej – zgodził się flegmatycznie.  
– Nie trzeba! – wydukał człowiek w płaszczu. – Nic mi nie jest.  
Puściłem się na przelaj przez wagony, roz-

trącając ludzi łokciami. Metaliczny loskot kół mieszał się w moich myślach z panicznym strachem o tamtego. Znalazłem kierownika w pierwszej klasie.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, facet na wpół leżał oparty o ścianę. Miał poluzowany krawat i rozpięte dwa górne guziki koszuli. Z ust na brodę ciekła mu strużka śliny. Chłopak w polarze kucał obok.

– Co panu jest? – zapytał kierownik, pochylając się do niego.

– On mówi, że serce – odparł chłopak. – Cholera, może ma zawał albo coś takiego.

– Słyszysz mnie pan?! – Kierownik nim potarł nos.

Mężczyzna tylko jęknął.

– Niech pan się nie martwi. Zaraz wezwę pogotowie – zapewnił kierownik.

Z futerału przytrzonego do paska wydobyl radiotelefon. Chwyciłem faceta w płaszczu za rękę.

Zbliżyliśmy się już do Dworca Zachodniego. Coś wpadło mi do głowy. Pochyliłem się nad poszarzałą, opadłą twarzą mężczyzny.

– Był pan ochrzczony? – spytałem głośno i wyraźnie. Zmusił się do skupienia na mnie wzroku.

– Jest pan księdzem? – wyszeptał z trudem.

– Nie, ale mogę pana ochrzcić z wody w przypadku zagrożenia życia.

– Aha. To dobrze.

– Więc jak, był pan chrzczony, czy nie?

– Byłem. Byłem, tylko później nasze drogi trochę się rozmięły.

Nie mógł już dłużej mówić.

Pociąg wjechał na peron omieciony zielonkawym blaskiem lamp. Na betonowej płycie stała już karetka. Dwóch sanitariuszy w jaskrawoczerwonych kombinizonach podbiegło z noszami do naszego wagonu.

Przytknąłem palce prawej dłoni do jego czoła, zimnego i lepkiego od potu. Nakreśliłem na nim znak krzyża.

Wydusił coś, co mogło być podziękowaniem, ale nie miałem pewności.

Dwaj paramedycy wskoczyli do wagonu, utworowali sobie drogę do chorego, chwycili go pod pachy i unieśli. Dwaj kolejni oparli nosze o schodki.

– Pojedzie pan do szpitala – tłumaczył sanitariusz. – Tam się panem zaopiekują. Proszę być spokojnym i niczego się nie bać. Czy pan mnie rozumie?

Nie zareagował. Wtasczyli go na nosze. Widziałem przez okno, jak wiozą go do karetki. Odjechali na sygnale, rozsiewając płatki niebieskiego światła. Zamieszanie powoli opadło i ruszyliśmy. Zacząłem mocować się z suwakiem. Zaciągając go, trafiłem na schowany w kieszeni przy sercu list z prośbą o zwolnienie z zakonu. Śnieg sypał coraz obficie.

*Marcin Królak*

(ur. w 1979 r.), niedokończony polonista, zawodowy wolny strzelec i blogger. Pisuje dla lokalnej prasy, gdzie w ubiegłym roku zadebiutował także jako poeta. Dwukrotnie wyróżniony w konkursie na opowiadanie w ramach Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania we Wrocławiu (2009 i 2010). Jego opowiadanie ukazało się w antologii *Wbrew naturze*. Obecnie pracuje nad powieścią. Publikował m.in. w „Gościu Niedzielnym”, czasopiśmie artystycznym „Kozirynek” i na portalach opowiadanie.org i liternet.pl. Mieszka w Mińsku Mazowieckim.

## Wiersze

*Agnieszka Wolny-Hankalo*

gra

Kiedy wracała na górę  
z torebką witamin do kwiatów,  
wznosiła chłód z ubikacji  
i zapach rozartowanych róż.  
Pamiętała jaki był, kiedy nie pił.  
Pozując na Irlandczyka,  
odstawiał szopkę, na chwilę  
ją sobie zaskarbiał. Wpadał w ręce  
pachnące rzezuchą, chciał,  
żeby najpierw gryzła,  
a potem prosiła o zgodę.  
Próbował nadać wyraz twarzy, krążył,  
nie mogąc wyjechać z parkingu.  
Przed oczami miał jej śliskie rajstopy  
i tylek wypięty jak tarcza.  
Wyglądał komicznie – jak ktoś, kogo boli.  
Lubił, kiedy bawiła się na leżącym  
łańcuszkiem, jakby to był czarny motyl,  
który jej usiadł na twarzy.



fleszmob

Zaśpimy dzisiaj – będzie fajnie.  
Zaśpimy specjalnie. Udajmy  
gorączkę, udajmy malarię.  
Olejmy awizo, zignorujmy  
dzwonki, grajmy zaginionych,  
tylko troszkę martwych.  
Zaśpimy zupełnie –  
dzień dniem bez nas zróbmy.  
Bez nas się obejdą  
te ważne spotkania, te straszne wypadki.  
Zaśpimy dzisiaj, nie mówmy już nic.

zwłaszcza o Bogu

porządek dziobania  
który zauważono wśród kur

*Agnieszka Wolny-Hankalo*

(ur. w 1979 r.), poetka i publicystka. Autorka książek *Mocno poszukiwana* (1999), *Lonty* (2001), *Gospel* (2004), *Ani mi się śni* (2005), *Spamy miłosne* (2007) i *Nochal czarodziej* (2007). Współredaktorka antologii opowiadań *Projekt Mężczyzna* (2009). Współpracuje m.in. z „Gazetą Wyborczą”, „Polityką” i „Lampą”. Na witrynie Polityka.pl prowadzi bloga o książkach *Co tam czytamy*, a w TVP współprowadzi program *Hurtownia książek*. Mieszka we Wrocławiu. Prezentowane wiersze pochodzą z tomu *Nikon i Leica*, który ukazał się nakładem Wydawnictwa WBPiCAK w Poznaniu.



## Wiersz

*Krzysztof Śweczyk*

## Ochryd

Opuszczamy kolebkę ohyd, galery parkują w mieście od miasteczka.  
 Wychodzimy w ocean mgieł, jest oczekiwanie prześwitów. Nowy początek,  
 O którym onegdaj napomykały stare malowidła, musi wystarczyć  
 Za kompas. Tymczasem skupmy się na chwili bieżącej.  
 Remanent przeżyć w amoku, kiedy tańczymy w remizie,  
 Jest taki niezobowiązujący, wygląda to raczej na pośpiech w miodzie,  
 Z jakim ofiara próbuje wydostać się gdzie bądź, coś takiego  
 Chodzi mi po głowie, konstrukcja losu oddającego do dyspozycji zawodnika  
 Narzędzia, za pomocą których może wystrugać sobie lupinkę z orzecha na pustyni.  
 Tak wyglądamy pomocy. Nie wyobrażam sobie już siebie  
 Bez twojej wzmianki, dopełnienia, jakie znajduje każda moja intuicja,  
 Trafnie sformułowanej obawy, kiedy milczenie następuje po fazie  
 Euforii, o jakiej wiedzieliśmy zawczasu, że jest tylko i wyłącznie  
 Placebo rozdawanym przez świt i okolice,  
 Gdy podłączaliśmy się do wiosennych rekolekcji, banicji,  
 Na jaką udaliśmy się wspólnie z formacją ptaków, latających wokół  
 Cegielnianego komina jak zaskakujące linki od przyjaciela,  
 W dziwnej porze, kiedy zwyczajowy człowiek śpi.  
 Myślę, że możesz mieć już tego dosyć, stąd brak lez.  
 Coś wyizolowanego jak Ochryd, dziwne zjawisko bez zaczepienia  
 W bezpiecznym bilansie czasu, który masz jeszcze dla siebie,  
 Coraz częściej zjawia się na tapecie jak rzewne wspominki.  
 To są gwałtowne przybory przeczuć, z którymi najwyklesza ciamajda  
 Daje sobie świetnie radę, zwyczajnie je pomijając,  
 Chociaż również widzę wiele uproszczeń w ocenie,  
 Jaką należy wystawić temu, co widać gołym okiem: nawóz.  
 Nawóz zamawia kolejkę, nawóz świętuje z entuzjazmem  
 Smutek po stracie kolegi, nawóz ma prawo do relaksu.  
 Oczywiście idziemy powolutku na dno jak przypadkowy zbieg  
 Nagle przechwycony przez ruchome błota, kiedy kolejna klatka  
 Była już na montażu, gotowano nam szczęśliwe zakończenie  
 Filmu w objęciach przyjaznych twarzy, czekających na nas,  
 Odłożonych na półkę w przysłowiowej wieczności. A tu bęc.

Zjawisko wyprzedza moment zawahania,  
 Być może to jest nam dane jako skuteczna podpórka,  
 Pomocna dłoń podana w wyjątkowym błysku,  
 Zaburzająca tok naturalnego porządku znikania i  
 Nawet powodująca w nas dziwne rozbawienie graniczące z odmową,  
 Bo przecież nikt nie chce wyjść na pajacyka, kiedy cyrk się zwinął,  
 Jednak rezygnujemy z elementarnej maski i już miłość  
 Ma nas w objęciach, dojrzewamy błyskawicznie  
 Do ciekawych spostrzeżeń, egoizm od teraz może kwitnąć  
 Jakby bardziej rozsądnie, są jakieś przyzwoite wzorce życia,  
 A strach kojarzy się bardziej z jakością odpowiedzi,  
 Jaką będziemy musieli udzielić trwaniu zredukowanemu  
 Do problemów, które wspólnie zrodzimy.  
 Ktoś pozbawiony siebie, zasłonięty jak zaćmienie,  
 Jest teraz twoim punktem odniesienia, widmem  
 Kojącym pory dnia, rozmówcą twojej otchłani,  
 Z czasem echem przetwarzającym pocałunki w nic  
 Jak dobrze zrobiona literatura, z jakiej mamy frajdę,  
 Bo mówi coś na przekór własnym ograniczeniom i  
 Jest w tym śmieszna do przyjęcia, jak dusza towarzystwa,  
 Z którym lubimy dzielić sytuacyjne ekstazy.  
 Kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem,

Nie miałem specjalnych nadziei,  
 Wszystko raczej dotyczyło minimum konwersacji,  
 Umówienia się co do dalszych kroków,  
 Wyprowadzenia z przygodności wniosków jak bączek  
 Wlokący jednostkę główną bardziej na otwartą wodę,  
 Gdzie można dopiero zacząć myśleć o kursie i  
 Na co to może się ewentualnie przełożyć.  
 Potem sprawy potoczyły się błyskawicznie jak szkwał,  
 Może nie grożący niczym szczególnym ale jednak zauważalny,  
 Niepokojący moje życie, które dryfowało jak kicz  
 Nomenklatury stosowanej zbyt nachalnie do przedmiotu  
 Wymagającego przynajmniej namysłu, jeśli nie troski.  
 Lekkość, z jaką przeprowadziłaś mnie przez inercję,  
 Nawet nie zostawiła osadu, drobinek kurzu w świetle  
 Uruchamiającym, powiedzmy, żal u tych, którym się nie powiodło,  
 Przez co rozumiem skłonności do drobnych złośliwości,  
 Widziane w każdym napotkanym obserwatorze moich wysiłków.  
 A teraz jest tak dobrze i zasadnie, z wielu względów,  
 O jakich trudno naprędce wspomnieć miastu ciężkiego powietrza,  
 Które nas wchłonęło niczym magnez. Nie przyswajamy niczego  
 Z natury, wszystko jest kwestią właściwego rozpoznania emocji,  
 Następnie nazwania ich przytomnie jak chorobę,  
 Która być może nie doprowadza do śmierci, ale jest  
 Jej kabotyńską zapowiedzią, tak jakby samemu nic już nie  
 Można było zmaistrować i potrzebny jest ci sufler w najprostszej sytuacji,  
 Gdy idziesz sprawdzić do lustra jak jest. Ok.

Obraz uwewnętrzniony, ot co. Czy da się inaczej  
 Potraktować tych, na których naprawdę nam zależy?  
 Pasma nieustających, małych krzywd wyrządzanych  
 Innym, to jest właśnie to udane życie,  
 O jakim czytaliśmy kiedyś w podręcznikach harmonii,  
 Opisujących zdecydowane nieistnienie sztuki,  
 W jej wymiarze praktycznym, do jakiego odwołuje się percepcja.  
 I pal sześć trwożę świtu, moment opuszczenia  
 Letargicznego stanowiska, kiedy jesteśmy ustawieni dziobem do fali,  
 Która nie występuje jak satysfakcja z podjętej decyzji  
 W zasadniczej sprawie, gdy stawką jest głębia przeżyć,  
 Możliwie problematyczny wymiar każdej chwili,  
 Jakby chodziło o dekret wydany przez instancję,  
 Która jeszcze nie istnieje, chociaż po wielokroć  
 Dawała o sobie znać w dziejach przekomarzań  
 Między co bardziej nieruchawymi fantazjami.  
 Zakazane miasto, czy możesz to sobie wyobrazić?  
 Słowa podają prąd jak w rozdzielni,  
 Gdzie znaczenie teleportowane jest do odbiorcy,  
 Grając na jego konwencjonalnych oczekiwaniach,  
 Tak jak na mnie działa teraz sugestywne wmówienie,  
 Że przekroczenie bram zakazanego miasta będzie tożsame  
 Z uczestnictwem w darze intensywności bycia,  
 Osiąganego tylko za cenę radykalnej zmiany otoczenia,  
 Kiedy tyle pozostałych dłużyzn oczekiwania zniekształci odpowiednio  
 Efekt, jakbym już w nim był. Tak właśnie działa przywiązanie  
 Do świata, z którym nie mamy nic wspólnego poza  
 Mechanicznym odruchem, coś jak cześć rzucone w pośpiechu  
 Zupełnie nieznannej osobie, za którą ręczysz głową, bo jej nie znasz.



Tak ma być. Kolory ofiarnego wzgórze o zmierzchu,  
Widok płaskowyżu i piski w poszyciu to coś więcej  
Niż tylko regulatywna obcość, przywracająca cię sobie,  
Twoim operacyjnym modułom, pozwalającym odpowiednio wskazać zorzę,  
Rozpoznać ją w gąszczu innych zórz, z których żadna nie musi być tą właśnie,  
Polarną specyfikacją, tak jak buddyzm nie od razu musi oznaczać coś doniosłego,  
Nawet jeżeli przynosi ulgę ludziom zachodu, pogrążonym w śpiączce,  
Na jakimś krzyżu, ociążałym jak teologia w stanie recesji.  
Skoro statek tonie, warto chyba oddać się rozważaniom  
Odrobinę bardziej oddającym stan technologicznego zwątpienia i  
Zaufać tańcu, pełnej dowolności w porządku błahych wynurzeń.

Moim nawigatorem są twoje zielone oczy,  
O zmiennej konsystencji zabarwienia, zależnej od kąta padania światła i  
Temperatury, pory roku i długości dnia, dokładnie jak zorza,  
Pokazująca swoje właściwości nie wiadomo komu,  
Na stosunkowo dalekiej północy, jeszcze turystycznej,  
Ale już nie masowej, bo kto jedzie na koniec łądu,  
Żeby pooglądać białego niedźwiedzia skoszarowanego w betonowym bunkrze,  
W którym atak wyklucza długość wybiegu?  
Szkoda czasu, powie masówka. Tymczasem czasu nie szkoda,  
Ten niedźwiedź jest tego przykładem, całymi godzinami przy bandzie,  
Nasłuchujący, co słychać po drugiej stronie, ale bez ekscytacji.  
Ruchliwa fluorescencja, pojawiająca się na horyzoncie,  
Ale nie do końca uchwytana w migawce jak zdanie na temat,  
Który nie został oznaczony, gdyż właśnie wygasł,  
W świetle narosłego z nagła wydarzenia,  
Jakie trzeba podjąć, żeby nie wiem co,  
Inaczej będziemy sobie wyrzucać później zaniedbanie,  
Brak wystarczającej reakcji, wreszcie utkwimy  
W poczuciu winy żałobnika, co nie uronił łzy  
Nad grobem świata, kolebką, w której kwili uśmiech  
Niczyjej podobizny albo gładką taflą jeziora,  
Po której już nie przejdiesz, bo nie ma dokąd i z kim.



Krzysztof Świrceżyk

(ur. w 1977 r.), poeta. Autor zbiorów wierszy: *Dziki dzieci* (1995), *Emil i my* (1999), *Wiersze dla palących* (2001), *Dane dni* (2001), *Zdania z treścią* (2003), *W państwie środka* (2005, edycja niemiecka *Im Reich der Mitte*, 2007), *List otwarty* (1995-2005) (2006), *Centrum likwidacji szkód* (2008). Zagrał główne role w filmach fabularnych *Wojaczek* (reż. Lech Majewski, 1999) i *Wydalony* (reż. Adam Sikora, 2010). Pracuje w Instytucie Mikołowskim. Mieszka w Gliwicach.

## Kotka antykwariusza

(cd. ze s. 5)



Opowiada, na ustach pękają banieczki śliny.  
Muszę pana nagrać. Niesformatowany dyskurs oldschoolowego kapitalizmu.  
Zaciągam się, wpatrując się w jego buciory. Koślawe, sztywne, sznurowane nad kostką.  
A co, że skamielina, pierdzieli głupoty?! Po meblowych chodzę, tłumacząc: Ludzie, rok, dwa to się rozklei. Nie! Woła sklejkę, a jak ktoś ma lepszy grosz, to do desy.  
Zaciska usta. Nieruchomieje. Przez twarz przechodzi skurcz, zaraz zastąpiony łagodnym uśmiechem.  
Przemiany w przestrzeni miast postsoc, ja się tym żywię.  
Mówię, gasząc papierosa. Tak jak i on, w donicy z samosiejkami.  
Tylko jehowici do mnie zaglądną. Same dziady. Wyganiam. Z kobietką to bym jeszcze o bozi pogadał, pooglądał te ich pisemka... ale same dziady... To ja im tak, nożem do tapicerki. Tak im robie! Bo ja jestem straszny raptus. Stare suchary, ale gołonie na to chodzenie z dobrą nowiną mają. Mówię pani: dla Boga to ja się tyle liczę, co psi fiut. Psi fiut.  
Ej, nie pasuje do pana taki sentymentalny szloch spod znaku popkulturowego „Love you”.  
Spogląda na mnie. W tym spojrzeniu nie ma ciekawości, nie ma smutku. Jest kapitulacja, złożenie broni, biała flaga.  
Całe życie myślałam, żeby zbałamucić taką jedną, nie dało się, a tu przychodzi wnusia takiej tej jednej.  
Spocone kosmyki włosów kleją mu się do czoła. Krople potu połyskują.  
Niby ja? On fire. Nie pomylił mnie pan?  
Kobietki mi się nie mylą. W materii sentymentalnej jestem zwolennikiem detalu. A tu klientka przychodzi i na bezczelnego chce mój neon. Mój szyld.  
Skrzeczy. Oddycha wolno.  
A jak. I jeszcze się śmieje, łobuzica-pięknica jedna.  
Skrzeczy wolniej, polerując rękawem blat stołu.  
Ten pana neon z krzeselkiem już dawno wypatrzyłam. Bo ja teraz tu mieszkam, po babci.  
A dziadziusia klientka nie pamięta...  
Powoli, ostrożnie dotyka wierzchem dłoni policzek, jakby sprawdzał ciepłość organizmu.  
Nie. On już dawno... wie pan... tragicznie za ojczyznę.  
Siada. Palce oplatają szklanek z zimną herbatą. Ściska szkło w taki sposób, jak ktoś z zawrotami głowy, opiera się o ścianę.  
Mów mi. Tragicznie, ale nie za ojczyznę. Damski bokser, a mnie przez niego ciągnęli po komendzie. Ale wytłumaczyłem im mechanikę wersalek, to wypuścili. A babcia...  
Żal patrzeć, dzień w dzień zapłakana. Dobrze, że wersalka się im zacięła. To mnie zawołali. Dziadziś w wersalce taki miał kramik. Buteleczyki z bimbrem. Naprawiłem mechanizm po swojemu, a jakże... A kiedy dziadziś flaszkę wyciągał, to trach. I żałoba w rodzinie. Mechanika wersalek.

Chce coś jeszcze powiedzieć, nie może sobie przypomnieć.  
Przypomina szmacianego manekina ubranego w galanki. Oblizuje usta. Spierzchnięte. Pokryte drobnymi strupkami od zaciskania warg.  
Wersalka w funkcji gilotyny dla mas pracujących.  
Powtarzam kilka razy.  
Ja to z każdym mebelkiem jestem za pan brat. Krzesło, wersalka, sekretarzyk...  
Chce parsknąć śmiechem. Powstrzymuje się. Zapowietrza. Nagle kaszle. Ostro. Do bólu. Kuli się. Przywiera do oparcia krzesła. Półotwarte usta wyginają się nieznacznie. Nic nie mówią. Nic nie słyszą.  
Patrzy przed siebie. Unosi rękę. Cierpliwie ogląda dłoń. Bezkrwistą. O długich, szarych paznokciach. Cofa rękę do kieszeni spodni. Odwraca się w stronę krzesła. Uśmiecha się.  
Niech klientka spojrzy. Cacuszko spod dupska opozycjonisty. Gdyby nie daj Bóg się przewróciło, wystarczy nacisnąć i hop, już stoi. Może jednak by klientka to krzesło...  
Nieruchomieje. Drzemie z otwartymi oczami. Z ust kłaczkami zwisa spieniona ślina z przyklejonymi resztkami jedzenia. Wyciąga do przodu szyję. Wiedzie oczami po meblach. Nabiera powietrza. Aż do grymasu. Do bólu. Jestem pewna, że zaraz zebra mu trzasa, jakby miał szkielet z wikliny.  
Ściskam neon.  
Jęczy cicho. Z sykem wypuszcza powietrze. Twarz sprawia wrażenie marmurowej, oblanej mlekiem. Skóra jest odwodniona. Przypomina pergamin. Jestem pewna, że dałaby się rozdzielić na warstwy, jakby składała się z kruchych bibulek.  
Oczy przezrocyste. Wietrzejące. Prowadzą mój wzrok w głąb ciała, odsłaniają sieć drobnych żyłek, pajęczych naczynek, sińców, liszajów, krwiaków, podskórnych wylewów.  
Nagle głowa, niby podcięta, opada do prawego ramienia. Pozostaje tak. Jak stoczona z gilotyny. Obrzmiała sino-purpurowa kula ślizga się z góry na dół na suchej, zylastej szyi. Jak kocica wpatruję się w grdykę antykwariusza.

Lyla Rudzka

(ur. w 1964 r.), poetka, powieściopisarka, autorka scenariuszy filmów o sztuce. Debiutowała arkušem poetyckim *Ruchoma rzeczywistość* (1989). Jej debiutancka powieść *Białe klisze* (1991) uhonorowana została nagrodami im. J. Iwaszkiewicza oraz im. St. Piętaka. Kolejne jej powieści to: *Ucztę i głody* (1995), *Pałac Cesarów* (1997), *Mykwa* (1999), *Dziewczyny Bondy* (2004), *Ślicznotka doktora Josefa* (2006). Mieszka w Warszawie. Opowiadanie *Kotka antykwariusza* pochodzi z antologii *Wbrew naturze*, która ukaże się w listopadzie br. nakładem Wydawnictwa AMEA. Wśród autorów: Agnieszka Drotkiewicz, Grażyna Plebanek, Izabela Sowa, Anna Janko, Hanna Samson, Izabela Szolc, Michał Sufin, Włodzimierz Kowalewski.



## Manekiny

*Karol Maliszewski*

A raz to mnie mało nie skierowali do poprawczaka w celu wyprostowania kręgosłupa moralnego. Wychowawczynie dostała furii, popchnęła mnie na ścianę i przyłożyła lekturnikiem coś ze trzy razy. Potem przybiegł zaalarmowany dyrektor i powtórzyło się to samo, to znaczy najpierw było nerwowe zerknięcie do lekturnika, potem czytanie, nagła bladeść, zacerwienie się i nieskoordynowane ruchy rąk wymierzone w moją stronę. Na to byłem przygotowany i zrobiłem maleńki kroczek w bok. Dyro przydzwoił w stojak od map, taki duży, zielony, poniemiecki, a ten przewrócił się na miednicę i jeszcze zdarł po drodze ręcznik w niebieskie grochy. Takie drobiazgi człowiek pamięta. Ale to tylko dlatego, że była moja kolej przyniesienia ręcznika, mój dyżur w kąciku czystości, i pamiętam, że taki właśnie przyniosłem.

Tymczasem wokół mnie kotłowało się i już czułem, że na apelu się nie skończy. Musiałbym z dziesięć razy wystąpić na apelu, lecz i tak byłoby to mało. Po prostu zapomniałem w lekturniku zetrzeć gumką rysunek i dopiski. Dopiski te czyniłem podczas dyskusji ze Szczepanem. Jego wykładnia obowiązujących lektur zdecydowanie odbiegała od tych wygłaszanych przez wychowawczynie. Matka musiała to jakoś łagodzić i w tym celu uruchomiła szerokie znajomości handlowe, a jak już wspomniałem, w niejednej placówce była w Komitecie sklepowym. Grono pedagogiczne w ciągu trzech dni zostało zasypane deficytowymi towarami. Moja nieświadoma dywersja ideologiczna rozeszła się po kociach. Jasne, że musiałem odszukać na apelu i wykonać chyba z pięćdziesiąt godzin czynu społecznego. Phi, to przyszcz w porównaniu z poprawczakiem.

Niewiele pamiętam z wywodów Szczepana, więc nie mogę podać konkretnych powodów owego potwornego zamieszania pod kąciem czystości. W zeszycie lektur miałem opisane książki takie jak *Timur i jego drużyna*, *Samotny biały żagiel*, *Jak hartowała się stal*, *Chłopiec z Salskich Stepów*, *Poemat pedagogiczny*, *Archipelag ludzi odzyskanych*. Z nieszczęsnego lekturnika może pięć zamazanych kartek zostało, spróbuję jednak coś odtworzyć. Jak echo będzie ciągnęło się za tym ironiczne dogadywanie świętej pamięci Szczepana. Tak jak je sobie dzisiaj wyobrażam.

Ileż łez wylałem przy wielokrotnej lekturze tej wzruszającej pozycji, z zachwytem obserwowując, jak szlachetny prowincjonalny

pedagog z pasją cudotwórcy przetwarza włóczęgów, chuliganów i bandytów w zdrowych i normalnych członków społeczeństwa pracujących zgodnie z resztą kochającej ich gromady. W zrujnowanych budynkach karnej kolonii dla nieletnich przestępców pojawia się młody mężczyzna w okularkach i zaczyna od odzyskiwania skradzionych sprzętów, ponieważ chodziło mu o koncentrację dóbr materialnych niezbędnych do wychowania nowego człowieka. Wychowania przez pracę, a nie za pomocą pałki, tak jak było w owym ośrodku przed 1917 rokiem. (Już w dzieciństwie obywatel socjalistycznego państwa powinien nasiąkać przekonaniem, że kto nie pracuje, ten nie je. To się aż lepi od natrętnego, bolszewickiego, dydaktyzmu. W rolniczo-rzemieślniczym falansterze stwarzano model świata społecznego, małe społeczeństwo odwzorowujące wszystkie funkcje dużego społeczeństwa, w którym jednostka bezwzględnie musiała podporządkowywać się kaprysom kolektywu i tak zwanej mądrości zbiorowej. Ubóstwienie kolektywu, klasowej prawdy i socjalistycznej ojczyzny, ubóstwienie przywódców – nowa religia, która musiała pojawić się w miejscu starej.)

Panie Samochodziku, weź mnie ze sobą – tak mógłby się zacząć mój list do niezrównanego pana Tomasza. A tak właściwie dlaczego mnie spośród wielu milionów małych Polaków miałby wybrać, czym miałbym sobie zasłużyć? Nie wiem, czy mam dość argumentów. Może tylko ten jeden jest naprawdę ważny. Mianowicie jako pierwszy w Miłogrodzie założyłem klub *Niewidzialnej Ręki*. I nie jest to malowany klub. Naprawdę dużo robimy. Tak więc, gdyby kiedyś znalazło się wolne miejsce w Pana cudownym pojeździe, chętnie wziąłbym udział w wyprawie i nauczył się czegoś nowego. Z prawdziwego życia, a nie z książek. (No, no, trzeba przyznać, że sporo jadu wtłacza się do dziecięcej wrażliwości razem z przygodami sprytnego muzealnika-ormowca, a jad ten uderza szczególnie w tak zwane ziomkostwa i tęsknoty wypędzonych Niemców, byłych mieszkańców Pomorza i Pojezierza Mazurskiego. Wyjątkowo zdolny propagandysta, manipulator młodzieżowych sumień, które po kolejnej lekcji profesora Nienackiego z nieufnością i nienawiścią będą patrzeć na każdy samochód z obcą rejestracją, wietrząc oszusta, szpiega, byłego hitlerowca, a co najmniej hohsztaplera. A do tego idyllicz-

ny obraz Milicji Obywatelskiej z miłością czuwającej nad bezpieczeństwem obywateli nawiedzanych przez wrogie elementy. Pomyśleć, że w tym czasie ta sama słodka Milicja Obywatelska pałowała studentów pod warszawskim uniwersytetem.)

Nigdy nie zapomnę jednej akcji z butelką zawiniętą w materiał. Ojciec miał na komodzie pod lustrem całą stertę, taką jakby piramidę, materiałów, które po kolei przerabiał na garnitury. Pierwszeństwo miały te z wkładką. Wyglądały jak rulony. W środku była butelka. I raz ojciec się zagadał, czymś zajął, a ja wiedziałem, co mam robić, bo mama mrugnęła do mnie dwa razy. Wsadziłem rękę w rulon i już szkło było moje. Wyobrażałem sobie zdziwienie ojca, który mniemał, że żonkosiovi Sosnowskiemu zależy na czasie. – Nie, to nie – pomyślał. – Odstaniesz swoje, bucu, w kolejce. – To coś mi gędził o pośpiechu i że ma być ekstra. W tym czasie ja już tańczyłem triumfalnego twista przy zlewie, do którego lała się za-

wartość półlitrowki. Ależ mama była zadowolona. Przynajmniej w tamtej chwili. Za kilka godzin czekało ją piekło. Mnie miało się upiec. Byłem tylko sprytnym ramieniem przebiegłej inteligencji. I tak to przebiegało w splątanych regulach, w podwójnym ogniu. Kiedy matka miała trochę szczęścia na twarzy, to wkurzał się ojciec. I na odwrót. Człowiek musiał wyostrzyć sobie słuch na te szepty i krzyki. Żeby ująć cało. Przetrwać w układzie. Chociaż na chwilę. W końcu jesteś dzieckiem, chcesz dogodzić każdemu, żeby to jakoś trzymało się kupy. Wściekłość matki patrzącej, jak dźwigasz kanekę z piwem, to już inna sprawa. I szybko przeszła do historii. Potem sama wysyłała, żeby mieć na kilka godzin spokój. Ululany piwem nie był tak agresywny.

Ze wszystkich ucieczek najważniejsze było czytanie. Socjalistyczna ojczyzna zapewniła bezpłatne biblioteki. Nasi ojcowie narkotyzowali się w rozmaitych „Robotnikach” i to kosztowało, my szukaliśmy darmowego pocieszenia w miejskich i gminnych bibliotekach. Nienacki, Bahdaj, Curwood, Stevenson, Fiedler, Twaine, Verne i tak dalej. Dla mnie najważniejszy był Niziurski.

Dyżury przy starzejącym się facecie. Najbardziej odczytany z nas, Andrzej, dodawał „burzliwe”. Nasz problem nie był czymś wyjątkowym. Tu większość facetów piła i biła. Szkoda, że Niziurski nie mógł tego opisać. Nie było na nich żadnej siły, bo i ci na gorze,

nawet partyjni, wydawali się nie lepsi. A wystarczyłyby jakieś tabletki, konsultacje, terapia. Tego nie było. Nie było w porę. Bo my mogliśmy obserwować już tylko końcówki: przyjazd specjalnej karetki i kaftan bezpieczeństwa wbijany w faceta, któremu lała się piana z pyska. Biała gorączka kończyła ten proces, w który uwikłani byli wszyscy. Ale to nie wszyscy jechali na sygnale do Stronia, tylko ten jeden facet. A z nim dzieci i żona. Wprawdzie zostawali na miejscu, ale część ich honoru odjeżdżała razem z nim. Byli przez chwilę wykluczeni, napiętnowani. Potem wszystko wracało do normy. Czekano na spektakularny odjazd następnego nawiedzzonego przez zmory życia. Takiego życia. Stąd te dyżury wymyślone przez Andrzeja. A może matkę.

To był dla nas punkt honoru. Nie chcieliśmy dopuścić do zamieszania w naszej bramie, do spektaklu pod domem, ulicznych ekscesów. Nie chcieliśmy być na oczach i ustach wszystkich. Trzeba było o to zadbać. Najslabiej dyżurowałem ja. Bo jakże najmłodszy ma się szamotać z dużym i grubym ojcem, jakże ma go dowlec do łóżka i czuwać, by się nie zerwał i szkód nie narobił, to jest prawie niemożliwe. Nawet trenowałem w siłowni u kumpla, gdy mi się do „Lewiatana” nie chciało iść. Zrobił sobie ją w piwnicy. I przy świecach, na które się zrzucaliśmy, wyciskało się sztangę albo rozciągało stalowe sprężyny doprowadzone z placu przy kopalni. Przyrost masy mięśniowej to jedno, a przyrost odwagi i przemyślności to drugie. W każdym razie po kilku miesiącach ćwiczeń ojciec już tak nie ciążył. Stawał się natomiast nieporęczny jak każdy zbyt duży przedmiot, który nie wiadomo jak ująć, by przetoczyć, wypchnąć, zapakować.

Dyżury przy burzliwie starzejącym się facecie. Interpretacja narzucona przez Andrzeja była następująca. Słuchajcie, ojciec nie może pogodzić się z obumieraniem. To jego bunt, protest, anarchiczny gest wymierzony w pozory sensu ogłaszane z ambony i mównicy. „To jego samobójcza walka z przemijaniem, utratą ważności do spożycia”. Gdzie on to wyczytał, gdzie w sobie znalazł miejsce na tak okrągłe frazesy? A co mnie to obchodzi. Każdego zjada od środka co innego. A on chciałby sprowadzić to wszystko do wspólnego mianownika rozpacz z powodu przemijania. I co z tego, że mnie ubywa po trochu? Z tego powodu mam się wyżywać na wszystkich dokoła, terroryzować dzieci i katarować żonę? Bardzo metafizyczne usprawiedliwienie, braciszku, bardzo. Aż za bardzo.



Za wysoko cenisz meneli zaludniających uliczkę naszego dzieciństwa. (Nie wiem, czy wspominałem o tym, że Andrzej, puszczać oko, i długo nie wiedziałem, do czego pije, nazywał sąsiedni zaułek ulicą sklepów monopolowych.) To przydawanie wzniosłości nikogo nie uratuje. Może ugruntuje pamięć, wzmocni staranie. O co? O co chcielibyśmy się starać? I tak kółko się zamyka. Nie rozszyfrujesz zagadki ojca. Nie sądzę, żeby na coś zdały się odpowiedzi metafizyczne. To wszystko jest bardziej fizyczne niż myślisz.

[Pomyśl o ciele jako odpowiedzi na wszelkie zagadki. O ciele napiętowanym przez rodzinę i środowisko, o kuśtykającym, wyśmiewanym dzieciaku, który zamyka się w swoim ciele jak w skorupie i drży. Tam obmyśla całym ciałem ciętą ripostę. I na niewiele go stać w tym obmyślanu i staraniu. Typowy polski eskapizm. Nie z szablą w dłoni, lecz z butelką. A po drodze, jak wiesz, unieszczęśliwi parę istnień, zatopi w tej butelce. I tu nie ma co wzywać najwyższych instancji, które i tak nas mają za nic, zachowując pozory powagi i uwagi. Skoncentrujmy się na niższych instancjach, przynajmniej takiego smrodu nie będzie. Na niższych instynktach. Na chęci przetrwania. – Żeby przetrwać, musiałem wyjść z kościoła, przestałem chodzić na zebrania. Wybrałem trzecią drogę. Do knajpy. Niestety, duch ludzki został podstępnie zakleszczony w tej trójcy. Chyba że wy, panowie, macie jakieś pomysły – powiedział kiedyś. I dał do myślenia. – Żeby przetrwać, musisz ciałem matki rozwalać szafę, czy tak, chuju jebany, czy tak?]

Kaftan czeka. Kiedyś wybije jego godzina. Który z nas zaśnie na dyżurze. Sąsiedzi nie będą zwlekać, zadzwonią, gdzie trzeba. A wtedy nasz wstyd nie będzie już ważny. Będą się działy rzeczy inne. I tu pewnie zbraknie nam słów. (– Co ty?! – rzekłby Szczepan – na wszystko znajdują się słowa. Tylko rzecz polega na stosownym momencie. – Właśnie. Dlaczego ich nie ma, kiedy są najbardziej potrzebne. – Ach, te słowa, mówisz o tych słowach, no, słuchaj, na coś takiego pracuje się całe życie. – Pierdolić to! – Ty tak poważnie, czy tylko w ramach młodzieńczej kontestacji i brawury? Chciałbym jednak delikatnie zwrócić uwagę, że w tym roku kończysz pięćdziesiąt lat.)

Co z tego, że kończę. Czy to jest, przepraszam, jakiś wyrok? A może przepustka do namaszczonej, kulturalnej wegetacji, w ramach której pasują określone formy zachowania i mówienia? Grzeczny i potulny mam się układać do snu. *Fuck you*, świecie geriatrycznych kapliczek i kanałów. Nie czuje się jeszcze skanalizowany. Wypuszczam się z mordą na wszystko, co żyje i doskwiera, wierząc językiem do utraty tchu. Nie, to nie jest błąd.

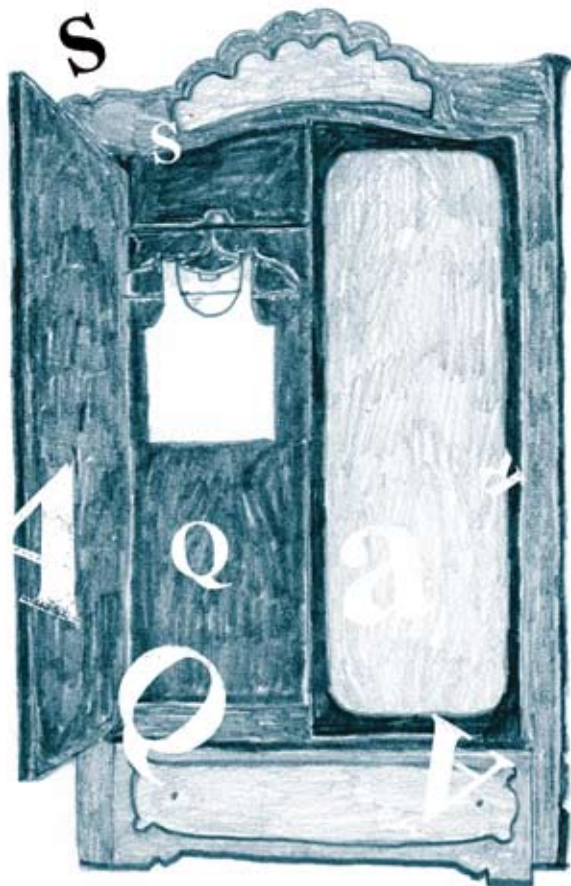
(Albo może inaczej: śniło mi się, że ciebie nie ma. Dlatego dzwonię, świecie.)

*Karol Maliszewski*

(ur. w 1960 r.), krytyk literacki, poeta, prozaik. Pracuje w Instytucie Dziennikarstwa Uniwersytetu Wrocławskiego i w Kolegium Karkonoskim w Jeleniej Górze. Opublikował osiem zbiorów wierszy, ostatnie to: *Rok w drodze* (2000), *Inwazja i inne wiersze* (2004), *Zdania na wypadek* (2007) i trzy książki prozatorskie: *Dziennik pozorny* (1997), *Próby życia* (1998), *Faramucha* (2001). W roku 1999 ukazała się jego książka krytycznoliteracka pt. *Nasi klasycyści, nasi barbarzyńcy*, a w 2001 druga książka tego typu, zatytułowana *Zwierzę na J. Szkice o wierszach i ludziach*. Ostatnio wydał: *Nowa poezja polska 1989-1999. Rozważania i uwagi* (2005), *Rozproszone głosy. Notatki krytyka* (2006), *Po debiucie* (2008). Prezentowany fragment pochodzi z powieści, która ukaze się wkrótce nakładem Wydawnictwa Literackiego.

## Poezja skurczonych podkoszulków. Poprawa, Radczyńska, Kopyt

*Paweł Kaczmarski*



*Bezużyteczność najciekawszych sztuk zawsze wydawała mi się ich naturalnie bezcenną stroną.*

Andrzej Sosnowski

1. Jedną z najbardziej rozpoznawalnych metafor użytych przez Giorgio Agambena w *Profanacjach* jest skurczony podkoszulek, „z niewiadomych przyczyn trzymany w szafie obok «męskich» koszul”. Wraz ze starą zabawką i szkolnym piórnikiem staje się on w świecie przedmiotów ucieleśnieniem figury „pomocnika”, odpowiednikiem z jednej strony archaniołów (pomocników Mesjasza), z drugiej – Jeremiasza i Artura, pomocników geodety z *Zamku Kafki*.

Roli pomocnika nie da się streścić w dwóch zdaniach. To niezaspokojone pragnienie, ślad wszystkiego, co zapomniane, utracone, nieziszczone. Pomocnik znaczący potencjalność, wyrrywając się istniejącym porządkom, a przede wszystkim – opierając się próbom

zgrupowania, zapamiętania, akumulacji. Jest zawsze postacią i obiektem nadmiarowym, pojawia się jako zbędna nadwyżka, przeszkadzając, marnując czas bądź miejsce; nie jest bowiem potrzebny do podtrzymania czegokolwiek, co trwa tu i teraz.

Skurzonego podkoszulka możemy w zasadzie pozbyć się z szafy; możemy go wyrzucić lub zostawić. Nie potrafimy jedynie sprawić, by nigdy się w tej szafie nie znalazł – sprowadza go tam geniusz, opiekuńczy duch dzieciństwa, niezrozumiały dla dorosłego impuls. Bezużyteczność i zbędność, „nadmiarowość” otwierają nas – wraz z szafą, z jej zawartością, z całym pokojem oraz z językiem, w którym to wszystko nazywamy – na możliwość innych światów, zmuszając przy tym do konkretnych wyborów.

Najciekawsze wydane ostatnio książki poetyckie nieodmiennie kojarzą mi się z szafami skrywającymi wiele starych podkoszulków. Swego czasu sposobem na ich odkrycie (a przy okazji, niestety, wypranie i wyprasowanie) była walka z modelem „poezji niezrozumiałej”. Zdaje się, że wraz z dyskusją o hermetyczności współczesnego wiersza zamiera poważne zainteresowanie tym, co jałowe i bezużyteczne – te dwa wątki stały się bowiem nierozdzielnie związane. Tematy podjęte przez Jacka Gutorowa w szkicu *W sercu słońca (Urwany ślad, 2007)* – wykraczające daleko poza recepcję twórczości jednego autora i poza interpretację *Części przekłetej* Bataille’a – cały czas fascynują oryginalnością i trafnością, ale nie doczekały się żywej polemiki. Skurczony podkoszulek nadal odsyła z jednej strony do „poetów niezrozumiałych”, z drugiej – do lekcji szkoły nowojorskiej.



We wspomnianym szkicu Gutorow postawił – nie zawsze wprost – przynajmniej trzy tezy, które zasługują na szczególną uwagę. Po pierwsze, skojarzył eksces (w rozumieniu Bataille'a, a więc – zakłócenie swobodnego przepływu energii, również energii języka) z fascynacją. Po drugie, na przykładzie tekstów Sosnowskiego pokazał, że wiersz może odtwarzać cały model ekonomii słonecznej, łącząc plan akumulacji (spekulacji) i marnotrawienia (w *Części przekłanej* poezja przesunięta została zdecydowanie w kierunku marnotrawstwa). Po trzecie, dokonał specyficznego, subtelnego odwrócenia wyjściowej sytuacji „ekonomii słonecznej” – akumulacja znaczeń jest dla niego czymś, co w poezji wylania się dopiero z nieskrepowanego przepływu energii. Bataille podobnie widział podstawowe procesy rządzące życiem na ziemi; jednak w świecie ludzkich wytworów sytuacja miała ulegać niejako inwersji, czyniąc akumulację podstawą, a akt marnotrawienia zwieńczeniem i dodatkiem. Można powiedzieć, że Gutorow śmiałym gestem „przywrócił poezję Słowiciu”.

Jego refleksja okazuje się dziś szczególnie znacząca. Ostatnie kilkanaście miesięcy przyniosło znakomite zbiory wierszy, w których bezużyteczne przedmioty i gest marnotrawienia zajmują istotne – jeśli nie najistotniejsze – miejsce. Warto pokazać, jak te wątki łączą trzech bardzo różnych autorów – poza przestrzenią wspólnych inspiracji, pokoleniowej klasyfikacji czy lokalnych dykcji.

**2.** Nominowane do tegorocznej Nagrody Literackiej NIKE *Walce wolne, walce szybkie* Adama Poprawy (które uparcie nazywam książką poetycką, chociaż ukazały się w serii „Biblioteka Prozy Współczesnej” WBPICAK) zaskakują i zachwycają radykalną idiomatycznością. Książka składa się w zasadzie z *quasi*-biograficznych minifelietonów, notatek zbudowanych wokół codziennych, ale zaskakujących spotkań z językiem: na uczelni, w księgarni, w sklepie, na ulicy. Na pewnym poziomie to zbiór gotowych cytatów, ripost i komentarzy – taki charakter ma na przykład *Jak się trafiła*:

Dwie panie w Żupańskim dorzucają do oferty. Jedna radzi się drugiej  
– Jak napisać, że książka na dole, na grzbiecie chyba trochę pogryziona przez myszy?  
– Grzbiet lekko omyszkiwany – podrzucam.  
Obie śmieją się.  
Czasem trafia, ja lub się.

Tego rodzaju błyskotliwe, felietonistyczne fragmenty wylaniają się jednak – dzięki względnej „uniwersalności” – z tła, które stanowi „plan marnotrawienia” ze szkicu Gutorowa. Większość notatek zamieszczonych w *Walcach wolnych, walcach szybkich* pozostaje radykalnie pojedyncza i niepowtarzalna.

Czytając książkę Poprawy, można bowiem uwierzyć, że pewne frazy, opisy i dialogi utrwalone zostały wyłącznie na mocy przypadku; czytelnik skłonny jest wyobrazić sobie sytuację, w której zatrać się całkowicie, zupełnie zapomniane, nigdzie nieprzechowane. Co więcej, trudno wyobrazić sobie coś przeciwnego – możliwość ich ponownego zastosowania, dalszy (spekulacyjny, akumulacyjny) obrót. Ich „użyteczność” jest iluzoryczna – polega wyłącznie na pociąganiu w stronę powtórnej lektury i tylko w niej się objawia.

Najbardziej przewrotna okazuje się chyba miniatura datowana na styczeń 2007 r.:

#### Może się przydać

Gdzie koniec tęczy nie dotyka ziemi,  
gdzie wschodzi słońce i kędy zapada.

Do czego w rzeczywistości może się przydać ten urzekający dwuwiersz, zestawiający tytuły książek Miłosza i Sosnowskiego? To w nim objawia się najmocniejsza strona *Walców*; jeśli wsłuchać się w głos narratora wystarczająco

ważnie, odnajduje się błyskotliwe gry i aluzje (będące źródłem dużej czytelniczej przyjemności); jednocześnie okazują się one zupełnie „bezużyteczne”, marnotrawne i jałowe, pozostają jedynie świadectwem swobodnego przepływu języka. Odkrycie tego szarego szumu znaczących pod spekulacją intertekstualnej gry może być wyjątkowo istotnym doświadczeniem. Oczywiście, można też przytoczyć utwór traktować jako aluzję do szczególnej relacji między poetykami dwóch autorów – zapewne wyjątkowo złożonej, istotnej i wymagającej szczegółowej refleksji – jednak takie podejście unicestwia spontaniczność, lekkość i dyskrekcję, z jakimi ta miniatura wkradła się do książki.

Łatwo ulec złudzeniu, że tom Poprawy może nauczyć czytelnika „językowej wrażliwości”; tymczasem *Walce wolne, walce szybkie* najwyżej poddają sprawdzianowi jego umiejętności poruszania się w sieci aluzji, anegdot oraz kulturowych odniesień. „Googlowanie” i poszukiwanie wyjaśnień w słowniku – dwie sprawdzone metody – tutaj okazują się sposobem na zabicie komizmu i absurdu konkretnej językowej sytuacji. Nad niezrozumiałym (bądź „nieporuszającym”) trzeba przejść do porządku dziennego; tylko to daje szansę, by odkryć go na nowo w kolejnej lekturze i w innych okolicznościach. Poprawa zwraca bowiem czytelnikowi tyle językowej finezji, ile ten wnosi do książki; świetnie widać to w szkicu Piotra Śliwińskiego na temat *Walców* (w „Magazynie Literackim TP” 11/2010). *Być uchem* to tekst utrzymany w tonie omawianego zbioru, operujący w podobnych rejestrach, w tej samej sieci odniesień i aluzji; to, w pewnym sensie, tekst bliźniaczy wobec tekstu Poprawy.

**3.** To zaskakujące, że w obiegu krytycznym nie zestawiono dotąd *Walców wolnych, walców szybkich* z ostatnią książką poetycką Justyny Radczyńskiej (*Kometa zawraca*), wydaną niecały rok wcześniej. Oba zbiory mają wiele wspólnych miejsc i wątków – choć ich inspiracje, środowiskowe korzenie i geneza są zdecydowanie różne.

Można chyba powiedzieć, że Radczyńska – poruszając się w przestrzeni Internetu – tworzy wariację na temat projektu, z którego założeń czerpie również Poprawa. Poetka skrupulatnie notuje codzienne spotkania z językiem i świadectwa niecodziennych dialogów. Podstawa jej kronikarskiej „metody” opisana jest właściwie przez „legendę kolorów” na samym początku książki: „wszystkie teksty autorskie zostały zapisem atramentem koloru marengo; pozostałe, do których bibliografia znajduje się na końcu książki – kolorem pruskiego błękitu, zaś sama bibliografia zielenią Paola Veronese'a, zwaną także „emerald green”.

*Pozostałe* to wiersze złożone w całości z internetowych hasel i zapisków, ogłoszeń i komentarzy w portalach informacyjnych. Utwory „autorskie” również wykorzystują tego rodzaju źródła, jednak splatają je zręcznie z metaforami i obrazami innego pochodzenia.

W przeciwieństwie do Poprawy, Radczyńska ma wyraźnie na celu zawstydzenie czytelnika, wypunktowanie nawyków degradujących współczesną mowę. Jednak również u niej współlistnieją dwa plany: „autorski”, akumulacyjny, będący próbą zgromadzenia i uporządkowania znaczeń, rozwinięcia własnej dykcji; oraz „pozostały”, marnotrawiący – jałowy bieg internetowej pulpy.

Przynajmniej tak wydaje się czytelnikowi na początku lektury. Z czasem granica między dwoma planami zaczyna się zacierać; nie tylko nie sposób odróżnić od siebie frazy „autorskie” i „internetowe”, ale i wskazać, które z nich występują w bardziej hegemonicznej roli, w bardziej zdecydowany sposób dążą do zorganizowania i uporządkowania rejestrów języka.

Ostatni wiersz książki można czytać jako triumf wynaturzonej produktywności. Poemat *Regulamin* (zapisany kolorem pruskiego błękitu, a więc „nieautorski”) trudno cytować – podobnie zresztą, jak pozostałe teksty zamieszczone w *Komete zawraca*. Opisuje on skargę złożoną przez organizatora nieokreślonej „imprezy studenckiej” na krzywdzącego (a w zasadzie: ją) decyzję równie nieokreślonej „Komisji Dyscyplinarnej”, która zawiązała o złamaniu „regulaminu” i odebrania organizatorowi prawa do „korzystania ze Sprzętu”.

W tym miejscu na pustym przebiegu języka pojawia się skaza. W środku jego rzekomej „jałowości” czytelnik odkrywa pojęcia odsyłające do prawa i zorganizowanych struktur władzy – „kierownik”, „komisja”, „dyscyplina”, „regulamin”, „rezerwacja”. Eksces dokonuje sabotażu w samym centrum tego, co miało stać się zmarnotrawioną nadwyżką (przez której zatrutę czytelnik zdołałby, być może, odpokutować reprodukowane przez siebie językowe schematy). Radczyńska konkluduje pesymistycznie, nie pozostawia złudzeń.

**4.** W tym samym roku, co *Kometa zawraca*, ukazało się *sale sale sale* – nowa książka Szczepana Kopyta, jednego z najciekawszych młodych poetów. Wśród najwyraźniejszych przesunięć, jakie dokonały się w poetyce autora (*lyassu*), jest zaakcentowanie roli wiersza medytacyjnego, wiersza-mantry. Do tej formy nawiązują kluczowe poematy tomu: *z zastanowienia się wynika rytm i piękno rzeczy*, *mantra wartości dodatkowej względnej i bezwzględnej*, *koce czy wywiad*.

W poszukiwaniu uzasadnienia dla jej obecności (która da się, oczywiście, wyjaśnić też przez odniesienia do filozofii buddyzmu) czytelnik trafia na takie słowa (z wiersza *dział promocji*):

wzloty i upadki ekonomii politycznej  
wahania kursów biografii seksualnych  
pozwołmy sobie zrozumieć siebie  
buchalteria czasu sublimacji  
weneckie lustro dialektyki  
i ty w środku  
gratis

Ten tekst nie otwiera tomu, choć w zasadzie mógłby – zdaje się bowiem opisywać okoliczności, w jakich narrator *sale sale sale* zjawia się w języku; wrzucony w środek cyklu „wzlotów i upadków ekonomii politycznej”, w środek złożonej rzeczywistości społecznej, w samym centrum świata weneckich luster, dialektyki i – zarazem – pustych sloganów („pozwołmy sobie zrozumieć siebie”). Jest tutaj jednak jako „gratis”, bonus, nadmiar bądź nadwyżka. Jego obecność pozostaje, w gruncie rzeczy, zbędna; domaga się ztracenia, choćby w powtarzanej mantrze.

Dlatego narrator u Kopyta (wraz z samym poetą) nie poddaje się uschematyzowaniu, dostosowaniu do roli „głosu pokolenia”, „przywódcy” czy choćby „kronikarza” rewolucji – jego spojrzenie nie jest koniecznością, ale zbytkiem, nadmiarem, z którym trzeba sobie poradzić. Pytanie „co ze sobą zrobić?”, nie tracąc ironicznego wymiaru, zyskuje fundamentalne znaczenie.

Anarchiczny gest w poezji Kopyta – pojawiający się, wraz z problemem odmowy pracy, już na poziomie tematów – oznacza nie tylko marnotrawienie własnej obecności. Dlatego mowa zarówno o „zapominaniu wiersza” (*przyszłość jest jasna*), jak i o tym, by – w nawiązaniu do słów Kuronia – „nie tworzyć komitetów, ale palić własne” (*komitety*). Pustym przebiegiem języka stają się jednak nie kulturowe klisze, komunikaty przeniesione z przestrzeni publicznej, ale sama „jednostkowość” i „indywidualność” autora, który rozumie swoją „nadmierność”. Czytelnik odnajduje tu echo twierdzeń Georgesa Bataille'a o tym, że

„wszyscy ludzie intymnie są jednym” i „kiedy ztracam bez miary, ujawniam moim bliźnim to, kim intymnie jestem” (a zapewne również echo głosu Spinozy, którego nie da się z poezji Kopyta wymazać).

Trudno o wyraźniejszą nawiązanie do tej refleksji, niż słowa z początku *mantry wartości dodatkowej względnej i bezwzględnej* – choć należy pamiętać, że to wiersz złożony, pełen wewnętrznych napięć, skierowany na paradoks: „po pierwsze nie jesteśmy ale jestem/ po drugie jeśli już liczę liczę w sobie”. Gestem ztracenia jest też „rozdanie wiersza znajomym”, by „obiegł świat” (*przyszłość jest jasna*).

Zatrata obecna jest u poety na wielu poziomach (również tu współlistnieją moment akumulacji i moment marnotrawienia); najistotniejsza wydaje się jednak stanowczość, z jaką Kopyt zahacza narratora w świecie, uznając jednocześnie „gratis” i nadmiar za podstawę jego obecności.

**5.** Poprawę, Radczyńską i Kopyta pozwała zestawić nie tylko rola, jaką problem nadwyżki i bezużyteczności pełni w ich dykcjach, ale również moment publikacji. Ich książki ukazały się na przestrzeni ostatnich dwóch lat; w tym samym czasie wydano przynajmniej trzy inne, szczególnie udane zbiory wierszy, dla których mechanizmy opisane przez Gutorowa stanowią istotny kontekst (a które wymagają właściwie osobnego omówienia). Oprócz *poems* Sosnowskiego myślę o *Makijażu* Jarniewicza (tom otwiera cytat z Flauberta o tym, że „bogactwo ducha wyraża się czasem przez puste zgola metafory”) oraz o *Niepiosenkach* Grzebalskiego, których niemal całe symboliczne rekwizytorium zdaje się zaczerpnięte z katalogu przedmiotów zbędnych, zużytych i niepotrzebnych.

U każdego z twórców zainteresowanie nadmiarem i zatrutą wynika z pewnością z innych pobudek – dla Poprawy jest konsekwencją gry z tradycją literacką; dla Kopyta wiąże się z politycznym gestem; u Radczyńskiej pozwala odkryć mechanizmy współczesnego dyskursu medialnego. Ciekawsze wydaje się jednak, że ich wiersze nie szukają „kontaktu z rzeczywistością” w myśl projektu poezji „bezpośredniej” – takiego, jakim rozumie go Karol Maliszewski („Dodatek „LITERACKI” nr 5). Przeciwnie, opisywany przez krytyka kontakt stanowi dla nich eksces, zakłócenie językowej medytacji.

Perspektywa zarysowana *W sercu słońca* jest otwarta; podobnie, jak otwarta jest szafa skrywająca skurczone podkoszulki i zepsute zabawki. Szkic Gutorowa nie stracił ani trochę na aktualności, a problem poetyckiego nadmiaru (rozumiany również w bardziej praktycznym, wydawniczym i socjologicznym kontekście) pozostaje nierozwiązany.

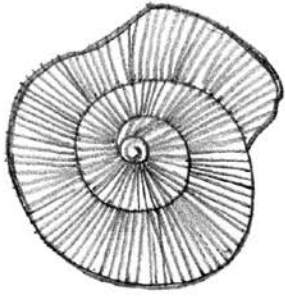
*Paweł Kaczmarski*

(ur. w 1991 r.), krytyk literacki, recenzent. Publikował m.in. w „Tyglu Kultury”, „Twórczości”, „Odrze” i „Ricie Baum”. Mieszka we Wrocławiu.



## Ze Słowackim na Jurę

(cd. ze s. 2)



i wodne szlaki”, „wtopione w przyrodę architektoniczne perły i perelki”, „żywiczny zapach lasu”. A w ogóle to cytujemy broszurkę *W sercu Jury. Powiat Zawierciański zaprasza!* (cymelium wydane nakładem starosty tegoż).

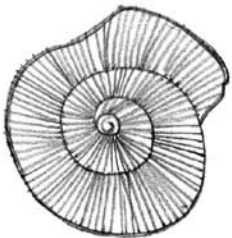
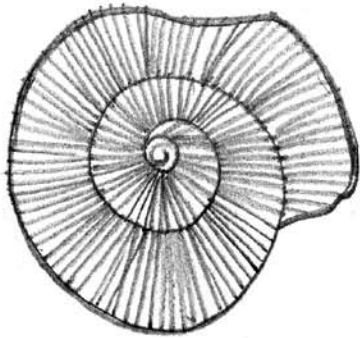
Rankiem pierwszego dnia wakacji stawiamy się na przystanku; bilet za dwa złote obraca wniwecz równą połowę naszego budżetu. Po półgodzinnej konwulsyjnej anabazie dobijamy do celu. Poddamy turystycznej weryfikacji kompleks rekreacyjny „Morsko”.

Okoliczności przyrody, jak okiem sięgnąć, niepowtarzalne. Zjawiska krasowe w pełnej krasie. Och, naprawdę można się napawać, bowiem w bliskiej okolicy znajduje się ferma pawi – obiekt udostępniony dla zwiedzających, a jakże! Pawie ogony, edredony, rajery! (Uzupełniam *post factum*: Zajrzałem do felernego cholera, pardon, chciałem rzec: cholernego foldera, okazało się, że jest to ferma strusi. A więc sprostujemy: nie można się napawać. Można struchleć.)

Skorupiaczy cementarz. Złoża skondensowanej agonii. Długotrwała, pomysłowa praca erozji ubrała formacje skalne w kształty paraplegików, zafrasowanych matron, prymitywnych narzędzi militarnych. Zmarły i grób – stali się jednym. Brakuje mi tu tylko figury romantyka, z jego peleryną, siarniczką i flaszeczką laudanum. Dlaczego te zwierzęta uparły się tu zdychać? W tej mięczaczkiej nekropolii Słowacki spędziłby pewnie jakąś *Apokalipsę z Ducha*: dzieło będące doskonałym przeciwieństwem tego, które rzeczywiście powstało. Budda mógłby tutaj równie dobrze powiedzieć to samo, co ongi powiedział w Benares.

Czy życie wydobędzie kiedyś z wody wszystkie związki wapnia? Czy świat będzie kiedyś jednym wielkim grobem?

Mając rudymenarną wiedzę o sedyment-



tacjach, które przyczyniły się do powstania wapiennych ostańców, odwołam się do dzieła poety. Mam na myśli *Genesis z Ducha* Słowackiego – traktat wizyjno-ewolucjonistyczny powstały w wyniku ekstazy, jaką poeta przeżył na wybrzeżu Atlantyku. Dlaczego lektura Słowackiego może być istotna dla dyletanta – mineraloga przyglądającego się jurajskim skamielinom? Ano dlatego, że autor przypisał rodzaj entelechii (a więc ducha) również jestestwom mineralnym, które w archaicznym świecie pozbawionym biologicznych organizmów reprezentowały życie – jakkolwiek byśmy usiłowali ten ostatni stan definiować. Otóż właśnie w upatrzonym momencie dziejowym wkroczył na scenę Anioł Niszczyciel, który to – jak sugestywnie opisuje Słowacki – tarł, miętosił, miażdżył skały na proch: aż do wyciśnięcia materii ożywionej. Jurajskie ostańce liczą sobie 100 milionów lat z okładem. Widzieć anioła wyciskającego z bretońskiego mikowca figury Adama i Ewy? To wybitny przykład romantycznego efekciarstwa. Ale powiedzmy, że życie wyszło ze skał i do skał powraca.

Fragment dla degustacji: „Pierwsza więc ofiara tego ślimaczka, który prosił Cię, Boże, abyś mu w kawałku kamiennej materii pełniejszym żywotem rozweselić się pozwolił, a potem śmiercią zniszczył, była już niby obrazem ofiary Chrystusa Pana i niestraconą została; albowiem Tyś, Panie, nagroził tę śmierć, pojawioną w naturze po raz pierwszy, darem, który dzisiaj nazywamy **organizmem**”.

Nawiasem: przypominała mi się anegdotka z lat studenckich. Impreza, jak to mówią, w stanie zaawansowanym. Ekstaza, apofaza i pokątnie porubstwo. Przytulona para korzysta z wolnego metra kwadratowego na środku pokoju. Tańczą. Wtem ona: „Weź

mnie tak nie ściskaj, bo dostanę organizmu”.

I z czego ty się cieszysz, ojczyste Słowacki? Syf i rany Boskie – oto cały organizm.

Wprawiamy w ruch maszynę krajoznawczą. Zdobycie pierwszego z brzegu niebotycznego szczytu (Łęczec) zajmuje nam 22 minuty. Korzystając z nadarzającej się okazji, kontemplujemy uroki krajobrazowe Jury Krakowsko-Częstochowskiej (1,5 min), zwiedzamy malownicze ruiny zamku Bąkowiec (0,5 min), zachwycamy się osobliwymi tworami geologicznymi (0,5 min), podziwiamy egzemplarze jurajskiej flory i fauny (0,5 min). O reszcie nie wspomnę (nawet w Arkadii są puste butelki). Spinalamy, Juro!

Po wyczerpaniu wyżej wymienionych atrakcji, atutów i walorów spocony wycieczkowiec podaje tyły. Próżne były dostrzeżenia foremnych dostrzegaczy. Opodał przytuliska rącznych środków komunikacji miejskiej znajdujemy dla siebie skrawek wolnego krajobrazu. Tam przybieramy pozę zwiędłego lotosu i wznosimy niecenzuralne suplikacje do bóstwa, które stworzyło otchłanie pustego czasu (1 godz. 97 min). W południe odurzamy lary i penaty. Urlop z głowy!

*Marek Krystian Emanuel Baczewski*

(ur. w 1966 r.), poeta, prozaik, krytyk literacki, autor słuchowisk radiowych, felietonista pisma „Opcje”. Laureat nagrody poetyckiej im. R. M. Rilkego. Nominowany do Nagrody Literackiej GDYNIA (2007) za tomik *Morze i inne morza*. Ponadto opublikował m.in.: *Taniec piórem* (1996), *Kassandra idzie przypudrować nos* (1999), *Wiersze zebrane* (1999), *Wybór wierszy* (2000), *Antologia wierszy nieśmiały* (2003), *Morze i inne morza* (2006), *5 poematów* (2006). Mieszka w Zawierciu.

## Lokalne sprawki

(cd. ze s. 2)



I kiedy ona tak stuka, a my z kolegą podsłuchujemy, i bacznie obserwujemy salę, wchodzi do „Miejsca” nasza wspólna znajoma. Wita się z nami wylewnie, a po chwili zauważa przy stoliku pisarkę feministyczną i z nią też, chichocząc i dzibdziając, się wita. A potem – o zgrozo! – z jednym z Kreatywnych Kretynów. Mówimy sobie z kolegą, że zaczyna być niebezpiecznie i może powinniśmy zmienić lokal. Ale koleżanka siada do naszego stolika i zwraca się do kolegi, który jest dość rozpoznawalną osobą: „Wiesz, że wszystko jest już na Facebooku?”.

Kolega zaskoczony, mówi, że on nie ma, że

nie używa, że to zło jest i nieszczęście. I że niby skąd. Na co koleżanka nachyla się jeszcze bardziej do nas, tak, że jej włosy muskają moje owłosione policzki i mówi: „Otóż tam pisarka feministyczna, autorka dwu notek blogowych, cały czas obserwowała was i swoje wnioski i obserwacje umieszczała na Facebooku”.

Popatrzyliśmy na feministyczną pisarkę zaskoczeni. A ona nam pomachała śliczną wypięgnowaną dłońią. I zaraz potem wyszliśmy. Chłopcy, którzy dyskutowali o zaletach wiśniówki od wczesnego popołudnia, leżeli obok wejścia. Spokojni i cisi.

*Edward Pasewicz*

(ur. w 1971 r.), poeta, prozaik, kompozytor. Laureat VIII Konkursu im. Jacka Biereżina (2000) W 2007 r. został nominowany do Nagrody Literackiej GDYNIA za książkę *Henry Berryman Pięśni*. Ponadto opublikował zbiory wierszy: *Dolna Wilda* (2001), *Wiersze dla Róży Filipowicz* (2004), *th* (2005), *Drobne! Drobne!* (2008), *Muzyka na instrumenty strunowe, perkusję i czeleste* (2010) oraz powieść kryminalną *Śmierć w darkroomie* (2007). Mieszka w Krakowie.

## Daj odzipnąć

(cd. ze s. 2)



z kart jest budujący. A rozwój ich architektury ma przed sobą kolosalną (choć marginalną w skali ludzkiej rasy) przyszłość.

Oczekiwanie jakiego toku myślenia wzrasta? Wierszu, daj odzipnąć! Szukaj w nas tej rekompensującej nierealnej energii i przestrzeni prostszymi środkami, bo nie jest prawdą, że wszystko co jasne i ciemne, zostało już wystarczająco genialnie i niepodważalnie zaciemnione i wyjaśnione.

*Jacek Bionut*

(ur. w 1964 r.), poeta, prozaik, krytyk literacki. Opublikował książki poetyckie: *Igła* (2002), *Fizyka* (2008) oraz powieści: *PiT* (2007), *Spojenia* (2009).

Laureat nagród im. Kazimierza Iłakowiczówny i Fundacji Kultury w konkursie „Promocja najnowszej literatury polskiej”, został nagrodzony także przez wrocławski oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w konkursie na książkowy Poetycki Debiut Roku (2001). Studiował filologię polską na uniwersytetach we Wrocławiu i w Lublinie. Mieszka we Wrocławiu.



Jakobe Mansztajn  
Wieszę

### Ballada o trupie

clue tego zdania to trup. trup nie udaje,  
jest w środku. mamy to szczęście,  
możemy się przyjrzeć, przyłożyć ucho,  
zastukać i stwierdzić: ni hu hu po tchu,

ni słyhu bicia, i tylko po sali wlecze się  
echo, salowa pcha wózek z pościelą  
po zmarłym, brudna po zmarłych jest pościel  
i echo się wlecze jak smród.

rację miał trup, że nic nie zostawią –  
płótno bielutkie, aż w oczy zaszczypie,  
z szafki przy łóżku sprzątną owoce,  
szafkę opróżnią, ciało ukryją ze wstydem.

jeszcze raz zerkną na puste posłanie,  
tym razem czulej pomyślą o trupie,  
i łażą się zakręci – ciężka, niezdarna,  
i wspólnie nad wielkim zapłaczą porządkiem

### Pierwszy i ostatni list Marcina do ziemi

miałem się wynieść, matulu od grobów,  
z ciasnej piwnicy twojego oka,

na świeżej zawlecze zawisnąc cicho –  
dzielne, dziurawe jabłko.

miałem się wynieść na pierwszą gałąź,  
lecz ciągnie ku tobie smutna nowina:

ona jest we mnie, suka nieczuła,  
i łażą się chytrze do karku do pięt.

to łażą się dym i przyszłe popioły,  
to robak się wierci w tym ciele zbyt ciężkim,

po którym, matulu, pestka zostanie,  
kruchy kamyczek – dziurawy, dzielny

### Wiersz o wchodzeniu po schodach późną porą podczas awarii windy

*piotrowi kossobudzkiemu, który wspina się nadal*

w prochowcu z popsutym zamkiem  
wprowadzasz się na trzecie;  
lamperie wyświetlają sentencję tej nocy:  
*odpocznij, wędrowcze, nim stanie się coś.*

jakoś tak łatwiej przyjrzeć się sobie,  
kiedy godzina przestaje być jawna,  
i takim się widzisz: majowym i pustym,  
rozpiętym między piętrami.

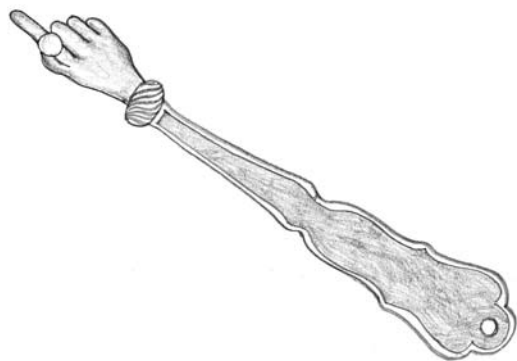
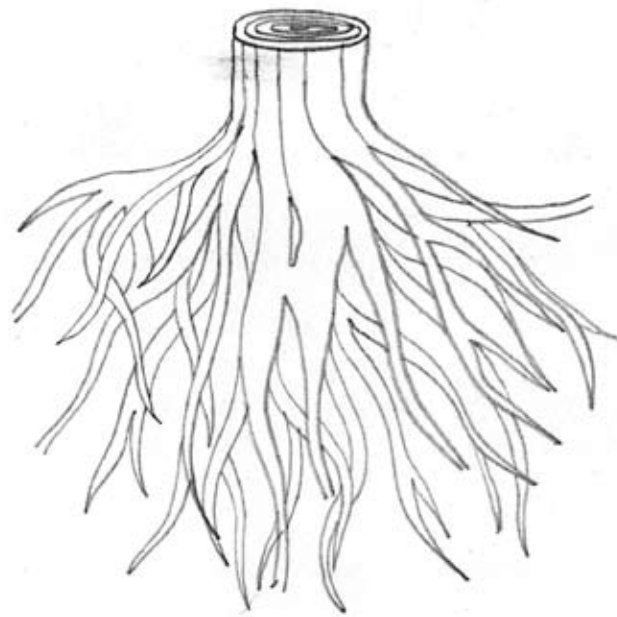
a wycieraczkom rosną butelki;  
światło zostało na klatce schodowej,  
trzy piętra w dół, więc myślisz o trupach,  
które tu leżą, jeden na drugim, jak wykładziny.

*pójść na dziesiąte*, namawiasz ciało,  
lecz ciało to ryba, a ryba jest gładka  
w jednym kierunku, jest gładka  
w jednym kierunku

### Tyber

*sobie, tobie i komu tam*

proponują porządek: pozbierać latawce,  
postery dawnych bohaterów zwinąć w rolkę.  
do piwnicy znieść: rowerek, apteczkę z lego,  
kolorowe puszki z biblijnego rfn wyrzucić.  
cały drobny majdan, co zagraca przejście,  
przesunąć pod ścianę. z piwnicy przynieść:  
kilka słoików na zimę, połowe łóżko, koc.  
systematycznie wchodzić w przyszłość.  
opowiedzieć się wreszcie za szczęściem,  
jakie jest, a nie jakiego się szuka. między  
piwnicą a schodami przeżyć tragedię.  
jedną z tych niewielkich, choć doszczętną



*Jakobe Mansztajn*

(ur w 1982 r.), poeta, bloger, w młodości zwolennik, obecnie dy-sydent. Redaktor kwartalnika „Korespondencja z ojcem”. Autor książki *Wiedeński high life* (2009), za którą otrzymał Wrocławską Nagrodę Poetycką SILESIUS (2010) w kategorii „debiut roku”, a także nominację do Nagrody Literackiej GDYNIA w dziedzinie poezji. Pochodzi z rodziny proletariackiej. Kabalista. Mieszka w Sopocie.

## PO KOŃCU

z Jakobe Mansztajnem rozmawia Konrad C. Kęder

### Konrad C. Kęder: Czy są jakieś tematy, których autor książki wolałby nie poruszać publicznie?

Jakobe Mansztajn: Patrząc na sprawę przez pryzmat współczesnych mediów, wydaje się, że nie istnieje zły temat i wszystko nadaje się do publicznej dyskusji. Kanaly telewizyjne w naszym kraju, prasa i stacje radiowe funkcjonują na różnych poziomach ogólności (czy raczej – dosłowności) i w różnym stopniu angażują intelekt odbiorcy. Choć przeważnie w ogóle go nie angażują. Wobec czego na wszystko znajduje się miejsce i spektrum tematów stale się poszerza. To jest jak piramida, trochę podobna do piramidy potrzeb Masłowa: na najniższym poziomie, niezwykle zresztą przepastnym i szerokim, dominują portale podobne do onet.pl i serwisy plotkarskie. Tam kultura została sprowadzona do informacji o tym, że pisarz zapiął stanik popularnej aktorce, a jeszcze ktoś inny został przyłapany z kokainą w nosie na pogrzebie kochanki swojej babci. Na szczęście im bliżej szczytu piramidy, tym lepiej.

### Czyli o życiu prywatnym opowiadasz dziennikarzem szczerze i chętnie?

Oczywiście zdaję sobie sprawę z faktu, że osobowość autora, jego doświadczenie i życie prywatne jest tym, co wzbudza największe zainteresowanie. Prawdopodobnie czytelnika gazety raczej zaciekawi moje publicznie wyznanie, że w wieku dwunastu lat włamałem się do kiosku, czyniąc przy tym poważne zniszczenia, aniżeli to, że wierszu *Tyber*, rozpaczliwie i zaciskając zęby, próbuję pogodzić się z faktem przemijania. Ten pierwszy rodzaj informacji może oczywiście rzucić nieco światła na twórczość autora – ale też bez przesady. Pisarze i poeci to przede wszystkim nałogowi kłamacy, dlatego zawsze mniej mnie interesował autor jako człowiek, a bardziej jego książka i świat w niej wykreowany. To właśnie w książkach autor mówi o słabych punktach rzeczywistości i jeśli rzeczywiście ma coś do powiedzenia, to o tym napisze. Niech książka będzie przedmiotem dyskusji.

### Z tego powodu używasz pseudonimu?

Pseudonim, którym podpisuję teksty i który brzmi tak żydowsko, jak tylko żydowsko może brzmieć, nie wziął się z powietrza, a z długiej historii mojej rodziny. Która to zresztą historia powoli zatacza koło. Wuj na powrót jął kartkować *Stary Testament*, babka przestała mówić „Bóg” i zaczęła (jak przepowiednia na rynku) wołać „Jahwe”, a we mnie do głosu doszedł ten element mojej tożsamości, który gdzieś tam, w toku lat a także pewnie z powodu środowiska, w którym dorastałem, został zepchnięty na margines. Ale to nie wszystko. Pseudonim ma dodatkowe znaczenie (rozszyfrowane zresztą jakiś czas temu w kwartalniku „FA-art”), które w pewien sposób odnosi się do poetyki, jaką uprawiam, a w zasadzie do postawy wobec

tej poetyki. Człowiek-Kamiień.

### Niemal nikt nie czyta uważnie literatury, zwłaszcza poezji. Martwi cię to?

Trochę martwi, ale jeszcze bardziej martwi mnie nieczytanie w ogóle. Nie sposób uniknąć nieporozumień w relacji autor-czytelnik, ale dobrze, jeśli takie nieporozumienie ma szansę zaistnieć, to znaczy – jeśli w ogóle dochodzi do kontaktu z książką. Ale i tutaj sporo zależy od autora. W Polsce pokutuje bowiem zwyczaj pisanie poezji w oparciu o jakiś niezrozumiały kod wewnętrzny: im bardziej jest on niezrozumiały, tym lepiej ocenia się wiersz. A zatem wszystko, z czego daje się wyczytać sens, jest z definicji niższej jakości. To mnie martwi chyba najbardziej – ta powszechna wśród poetów tendencja do zamazywania znaczeń i uprawiania spektakularnego bełkotu. Jeśli stosuję jakąś strategię pisarską, to jest to strategia walki z własnym wewnętrznym bełkotem.

### Zgoda, na twoją debiutancką książkę składają się wiersze pisane zwodniczo prostym językiem, ale już jako całość wydaje mi się ona daleka od kryształicznej przejrzystości...

W *Wiedeńskim high lifie* panuje radosna polifonia. Bohaterów jest trzech – Siwy, Marcin i Mansztajn – i każdy istnieje w relacji wobec jakiejś wersji końca czy może lepiej rzecz schyłku. Siwy jako postać pierwszoplanowa otwierającego tomik rozdziału (*Koledzy z podwórka – nieśmiertelność*) próbuje wstrzymać czas, ocalić całą tę epokę pacholeństwa, i zarazem zastawia się wobec przemian, jakie towarzyszą zmianom ustrojowym i postępowi kapitalizmu. Kapitalizmu, który rozpanoszył się na podwórku i powoli pożera kolejne kioski drobnych przedsiębiorców. Siwy jest obserwatorem i kontemplatorem – o ile takie słowo w ogóle istnieje – dnia codziennego, w jego wersji najbardziej przyziemnej: na trawniku w deszczu, przed dworcem na ławce, z kanapką z suchą krakowską w dłoni i blantem w pysku. To wspaniały człowiek.

Bohater drugiej części (*Clue tego zdania to trup*) – Marcin – to chłopiec, mówiąc łagodnie, po przejściach, który umiera powoli przez kilkanaście kolejnych tekstów. Umiera niejako na oczach czytelnika, który wreszcie staje się milczącym świadkiem w kondukcje pogrzebowym. Pogrzeb, przyznam szczerze, trwa do dziś. Pierwowzorem tej postaci był mój serdeczny przyjaciel, który pewnego słonecznego dnia wyszedł oknem, pozostawiając nas wszystkich, nas, czyli trzygłowego bohatera zbiorowego, w głębokim paraliżu. To wydarzenie odziera z naiwności i odbija się długotrwałym echem na całym moim dalszym pisaniu.

Bohater ostatniej części – czyli ja, Mansztajn – próbuje pozbić do kupy cały ten bałagan, jakiego doświadczył, całą tę feerię porozbijanych szkielek i ułożyć z niej być może nowe życie. Poszukuje miłości, jest jak

jakiś pieprzony bohater komedii romantycznej, mówi do kobiety: „jesteśmy pełni jak bóg i opustoszały jak katedra”. Ale przecież nie jest romantycznie, ostatecznie wszystko rozbija się jak tratwa o zbyt wysoki brzeg. Ucieczka w miłość okazuje się iluzoryczną ucieczką, wszystko bowiem ma swój koniec.

Jest więc trzech bohaterów w tej książce, każdy opisuje inny fragment rzeczywistości, ale jeśli przyjrzeć się bliżej, okazuje się, że tak naprawdę mamy do czynienia z trzema aspektami jednej osoby, jeśli zajrzeć głębiej, widać wyraźnie, że jest tylko jeden bohater – ja. Jeśli jednak pytasz, o czym jest książka, odpowiem, że o końcu.

### Skoro książka powstała, więc jest już po końcu. Jak emocje? Jak finanse?

Mimo jesieni, emocje są w porządku. Po całym szumie związanym najpierw z Silesusem, a potem z nominacją do Gdyni powoli wracam do siebie, na powrót zaczynam myśleć o pisaniu i książkach, mniej piję, więcej myślę. Jeśli idzie o finanse, też nie jest najgorzej. Miałem otworzyć z kolegą biznes, chcieliśmy prowadzić suszoną wólowinę do Polski i na niej zarobić fortunę. Plan spalił na panewce, dzięki czemu nie wtopiłem reszty pieniędzy z nagrody i dalej mogę jeździć taksówkami po Trójmieście. Sporo też wydałem na badania lekarskie – po nagrodzie postanowiłem, że zrobię sobie gruntowny przegląd całego ciała: krwi, mózgu, organów wewnętrznych, kości, skóry. A to kosztuje.

### A co z kulturą polską i całym światem?

Odkąd dostałem nagrodę, a potem jeszcze jedną, a potem jeszcze nominację, ludzie regularnie piszą do mnie z pytaniami typu: „Jak żyć? Panie Jakubie, którądy iść?” Ja oczywiście nie mam pojęcia, co odpowiedzieć, więc mówię, że nie mam pojęcia, co odpowiedzieć. Kiedy mnie jednak pytają o sytuację polityczną w kraju i na świecie (a i o takie sprawy mnie pytano), to mimo, że wiedziałbym, co odpowiedzieć, mimo że z przyjemnością odpowiedziałbym, że sytuacja polityczna w moim kraju, jak również sytuacja polityczna na moim własnym podwórku lokalnym, przypomina siermiężne dowcipy kabaretu Ani Mru Mru i że „idź pan w chuj z takim zartem”, to jednak biorę głęboki oddech, zaciskam zęby i proszę o następne pytanie.

Z kulturą jest dobrze, ale też nie do końca. Mam wrażenie, że w dalszym ciągu nie dorobiliśmy się wybitnych osobowości i własnego języka. Popatrz na taką Islandię, raptem dwieście tysięcy mieszkańców, a takie płodne środowiska twórcze, taka piękna i wyrazista sztuka. Tymczasem u nas z dziesięć milionów ludzi próbuje robić kulturę (z czego zresztą połowa pewnie pisze poezję), a nie dorobiliśmy się nawet zespołu muzycznego, o którym słyszałby mieszkaniec Luksemburga. Z literaturą jest akurat

lepiej, prawdę mówiąc, z literaturą od zawsze jest w tym kraju najlepiej.

### Chciałbyś kogoś pozdrowić? Może kolegów po piórze albo kosmitów?

Kolegów po piórze nie mam zbyt wielu, można powiedzieć, że w dalszym ciągu spoczywam kamieniem gdzieś na marginesie środowiska, wobec czego niewiele o środowisku wiem i jeszcze mniej mówię. Ale chyba wszyscy mają się dobrze, ostatnio widziałem się z Kubą Przybyłowskim, powiedział: „Stary, w Warszawie wszystko w porządku, jak u ciebie?” Poza tym zajmują mnie inne rzeczy, zajmuje mnie przede wszystkim pismo „Korespondencja z ojcem”, które robię w Sopocie, zajmuje mnie Spółdzielnia Literacka, w której organizuję imprezy i biegam z kolumnami na plecach i mikrofonem w ręce, zajmują mnie moi przyjaciele i filmy. Filmy w kinie zajmują mnie szczególnie.

Kosmitów też nie znam wielu, ale na pewno znam jednego. Nazywa się Gary Hell i włóczy się po Sopocie, pytając przechodniów o dwa złote. Gary jest malarzem i muzykiem, który oszalał. W latach siedemdziesiątych współtworzył punk rocka w Polsce. Jego ojciec, jeśli mu wierzyć, był wysoko postawionym politykiem w czasach komunizmu. Gary miał wstęp do wszystkich ministerstw, opowiadał, jak w samym futrze na gołe ciało, bez koszulki, wchodził do Ministerstwa Kultury i nikt go nie niepokoił. Nie wiadomo, ile z tego jest prawdą, a ile wymysłem osobowości, która popłynęła wartkim nurtem obłąkanej retoryki, ale zawsze pięknie się tego słucha. W końcu narkotyki wzięły Gary'ego w objęcia, wybrał się Gary w podróż, z której więcej nie wrócił i teraz włóczy się po Sopocie jak lunatyk, prosząc przechodniów o dwa złote na colę. Myślę, że jeśli wystarczy nam życia, nakręcimy razem film.

### W takim razie, na koniec, pytanie o to, jak mieszkaś?

Mieszka w dwupokojowej suterence w spokojnej dzielnicy Gdańska, niemal w samym lesie. Latem jest tu mniej światła niż zimą, a wszystko przez liście na drzewach, które zatrzymują promienie. Mieszkanie ma okna na zachód, do tego mury są grube i trudno je ogrzać, toteż życie spędzam raczej w niskich temperaturach. Mam szafę, biurko i wielkie łóżko, z którego wykręciłem wszystkie nogi. Ostatnio przytaszczyłem sobie także rowerek stacjonarny, aby popracować na kondycję. Myślę, że za pieniądze z *Wiedeńskiego* kupię sobie jeszcze jacuzzi i wstawię do drugiego pokoju. Światła dostarczają mi dwa kikuty lamp nieśmiało sterczące z sufitu. W maju chwycę w ręce kilof i być może usunę ścianę działową. Zawsze chciałem mieć boisko w domu, myślę, że boisko do squasha załatwiłoby sprawę.

# ta chwila

Andrzej Falkiewicz



W KTÓREJ LINIJCIE ŻYCIA JEST TO POTRZEBNE SŁOWO? (pytam słowami Miłobędzkiej). Słowa, słowa, słowa.

**ZBYTECZNOŚĆ KSIĄŻEK.** Owocnie mogą z nich korzystać tylko ci, którzy już przeżyli lub przemyśleli to, o czym książki te usiłują powiedzieć. Z taką wiedzą trudno pisanie snuć dalej. Snuję mimo to. Nudy na pudy. Fizjologia gadulstwa. *Quo usque reptandum, ut quid enim...?*

**JĘDROCH – CZY TAKA POSTAĆ MOJEGO IMIENIA JEST ZNANA?** Tak nazywa mnie Ciocia Tosia, siostra mojego ojca. Z pewnością tak mówiła też do mnie babcia Falkiewiczowa, jego matka.

O niej wiem niewiele. Wplątała ojca w spór majątkowy ze Strykiem Kaziem, mówiąc: „Daję wam, co mam... i trzymajcie się razem”. Ojciec rozkręca wytwórnictwo kosmetyków, Kaziu pracuje z ojcem przez jakiś czas, po czym ucieka w swoje motocyklowe przedstawicielstwo Zündappa i Ariela, żeni się z Ciocią Janką, żyją swobodnie i sportowo, biorą na przykład udział w rajdach sportowym samochodem o dziwnej nazwie Amilcar. Po latach, szukając funduszy na swe nowe przedsięwzięcie, powołując się na słowa babki, zgłasza pretensję do połowy fabryki. Rozsądza Ciocia Tosia i Kuzyn Czesiu, czyli ksiądz Czesław Falkiewicz. I tak jak w *Buddenbrockach* Manna – ten gwałtowny spór nie zawieszają żadnych stonków rodzinnych. Na przykład niedawno w papierach po ojcu znajduję radosną depeszę Kaziów z 1936 staną na transatlantyk: „Bóg obdarzył nas córeczką”. Posyłam to zabawne znalezisko na pamiątkę mojej kuzyneczce Hani-Hance-Haneczce Falkiewicz-Foksowiczowej-Barlogowej.

Solenie spotykają się na imieninach, urządzają wspólne rodzinne święta, na pogrzebach oplakują razem swych odeszłych, razem chrzczą dzieci. Zawsze solidarni, solidni i solenni – zawsze pewni swego, zawsze w drogich dużych samochodach. Krewni i znajomi księży i biskupów, którzy bywają u nich z okazji świąt rodzinnych albo po mszach odprawianych za dusze Ich Zmarłych.

**BOHATEREM TEJ KSIĄŻKI JEST CHWILA. INACZEJ: BOHATEREM JEST CHWILOWOŚĆ CHWILI.** Stąd wielka liczba dygresji, ilustracji. To zatręśnienie migawek, przelotnych obrazków.

Moje osobiste, niechby, bazgroły, autorskie niedorzeczności – a spod nich przezierna skrupulatna kolekcjonerska faktografia. Muzyka matki. Ojciec – Wega, Betelgeuse, planety, gwiazdozbiory, fabryka. Fabryki... (Jestem przecież nieodrodnym synem swych rodziców, w ich domu zawsze spotykałem się z „kolekcjonerstwem”, z bardziej lub mniej wysublimowanym gromadzeniem. Pisząc kolekcjonuję.)

**I TAK MI PRZYJDZIE BIEC W TEJ CHWILI,** tak mi przyjdzie biec... biec... biec... doszczętnie.

**DALSZY CIĄG SZPARGALIÓW: LIGA POLSKIEGO PRZEMYSŁU,** czyli przeciw Żydom, *quasi-filatelistyczne* doklejki, przyklepane na listach firmowych – stanowiąc zasługę na to, żeby tu o nich opowiedzieć. Nie ma to nic wspólnego z rasizmem. Raczej z interesem i solidarnością

zawodową ze znajomymi, konkurentami w tej samej branży. Ojciec ceni Żydów, ma pośród nich licznych znajomych. Pamiętam sprzed wojny wizyty Szacha z Hedera, za wczesnej okupacji pamiętam przerażonych Hossiasonów (przedstawicielstwo „Soir de Paris” f-my Bourjois; uratowali się i wyjechali na Zachód dzięki skrzypcom Stradivariusa i altówce Amatiego ofiarowanych gubernatorowi Frankowi), pamiętam panią Esterę Hossiason tuż przed wyjazdem, zasłaniającą szalem gwiazdę na rękawie, i pana Lachsa, ten też się uratował, odwiedza nas w Poznaniu jeszcze po wojnie. Pamiętam śmierć Alfreda Tabanańskiego, żydowskiego biedaka („Tabana najlepsza pasta do zębów”), tragicznie rozstrzelanego wraz z żoną i czworgiem dzieci w bańkach po mleku podczas nieudanej ucieczki z warszawskiego getta. Wyjeżdżają w nocy: on, dwoje dorosłych dzieci, żona z małym dzieckiem na ręku, każdy członek rodziny w innej bańce – i kiedy to małe zaczyna płakać, jakiś Niemiec czy Łotysz przejeżdża automatem po wszystkich bańkach. Pamiętam, że ojciec – na ogół odporny wobec tego rodzaju spraw – bardzo to zdarzenie przeżył.

**MANFRED HEDER PRZY TELEFONIE, ZAŁATWIA INTERESY.** W pewnej chwili spokojnie kładzie słuchawkę na biurko i szuka w nią popielniczką: „czy pan słyszy?! wpadam w furie!”

**OJCIEC NAPRAWDĘ UMIE FOTOGRAFOWAĆ, ROZMINĄŁ SIĘ CHYBA Z POWOLANIEM.** Zostawia po sobie jedyną w swym rodzaju dokumentację życia. Mam jego życie w pudłach i potrafię zrekonstruować niemal rok po roku, miesiąc po miesiącu. (Mam także pozakreślany egzemplarz drugiego tomu *Die Welt als Wille und Vorstellung* Schopenhauera, który czytywał na froncie w 1916. Po co mu, przyszłemu fabrykantowi, od wczesnej młodości zamierzającemu i zmierzającemu w tym kierunku, pilnemu czytelnikowi Flammaraona, ta mroczna przypowieść? Przyszło mi na myśl, że nic o nim nie wiem. Jeszcze mniej wiem o nim, niż o sobie.)

**PRZYTACZAM TUTAJ WŁASNE WSPOMNIENIA, NAJDROBNIJSZE SZCZEGÓŁY TYCH WSPOMNIENI, TAKŻE CUDE WSPOMNIENIA, MOJE PONOCNE UBZDRY, CODZIENNE CHANDRY, NOWE I DAWNE FOTOGRAFIE, KTÓRE PRZECHOWUJĘ W ALBUMACH, PRZECHOWYWANE ZAMIERZCHŁE SZPARGAŁY I SZPARGAŁY AKTUALNE, KTÓRE CODZIENNIE ZNAJDUJĘ W GAZETACH...** i blakając się po dniach, nocach, po szafach i szufladach, księgarniach, sklepach z płytami, wyjawiam bolesny i łagodny rytm naszych czasów, staram się wyławić z nich dla siebie ratunek – dla siebie... oraz dla świata ludzi mi współczesnych. (Może to jednak zbyt kategoriycznie powiedziane...)

Skoro już zacząłeś, powinieś *Tę chwilę* do końca bez uroczego kamuflażu skromności i tego kaptura uporzyczonego niezgustwa. Wiem. Ale nie jestem zwolennikiem metody kończenia czegoś za wszelką cenę. Nawet gdyby chodziło o dzieło własnego życia.

**NIE BOJĘ SIĘ NICZEGO.** Nie odczuwam lęku przed czymś określonym. Pozbywam się po wielu zmaganiach lęku przed śmiercią. Nie boję się bólu. Moje środki materialne pozwolą mi zdobyć środki skuteczne na każdy ból. Nie boję

się utraty bliskich. Będę ich śmiercią przybity, może będę po nich płakał – ale każdą śmierć, nawet tragiczną, zobiektywizuję, ustawię w szeregu z wiadomościami z gazet.

Boję się niczego. Tę lęku – leku nie spowodowanego czymś określonym – nie potrafię ani sobie, ani komuś wyperswadować.

**BÓG JAKO ALTERNATYWA KULTURY.** Pisze Umberto Eco w *Dziele otwartym*: „Fakt, że różne dyscypliny, począwszy od językoznawstwa aż po neuropsychologię, objaśniają proces komunikacji binarnie wskazując, że metoda ta jest bardziej ekonomiczna niż inne”. Słusznie. Algebra Boole’a, dokonująca wszystkich operacji za pomocą wyborów dwójkowych, jest najbliższą zasadą naszego rachunku i Eco, mówiąc o matematyce uduchawiania, że rachunek ten rozumie. A potem mówi o sztuce współczesnej, która „kwestionuje zasadę przyczynowości, logiki dwuwartościowej, relacje jednoznaczne, wreszcie zasadę wyłączonego środka”. Ale tu właśnie tkwi dramat! Mówię o nim przy okazji wywodu o Mieczysławie Piotrowskim (patrz: Andrzej Falkiewicz *Coś z mądrości i lenistwa, snu prawie. Świat pisarski Mieczysława Piotrowskiego*, „Towarzystwo Przyjaciół Polonistyki Wrocławskiej”, Wrocław 1995, zwłaszcza Rozdział III *Flores podpisu*, ss. 131-219). Bo zasada naszego rachunku... bo wspaniały rozwój naszej cywilizacji za sprawą maszyn rozumujących (binarnie)... bo wreszcie nasza kultura, nasz obraz naszej kultury – binarny, dwu-ważny (kultura-niekultura, kultura-natura) – sprawiają, że nigdy nie byliśmy i nie musieliśmy być tak „binarni” jak dzisiaj. Wszystkie dotychczasowe próby rozbicia zasady naszego rachunku (w polityce, ekonomii, medycynie, zmatematyzowanej nauce) kończyły się tragicznie albo śmiesznie.

Żeby pozostać przy powadze. Przynajmniej od czasów romantyzmu żyjemy w permanentnym kryzysie kultury. Jeśli nie chcieliśmy (bośmy nie mogli) żyć w kulturze, uciekaliśmy w naturę, jeśli nie chcieliśmy (bośmy nie mogli) polegać na własnej myśli, zwracaliśmy się do bytu – przyjmowaliśmy zbawienne „autentyczności” i konieczności (instynkt!), jakie byt implikuje. Wszystkie perypetie myśli europejskiej od czasów romantyzmu zamykały się w tym (ten nierozstrzygalny konflikt jest „duszą” literatury romantycznej). I perypetie myśli współczesnej (np. Levi-Strauss) i na-

sze dzisiejsze perypetie (kiedy np. „szukamy wytchnienia w przyrodzie”) także jeszcze w tym się zamykają. I kiedy wieszcz romanzyści mówili o Narodzie; i kiedy faszyzm dokonywał swych zbrodni; i kiedy myśliciele faszyzmu najdalej okazywali się faszyzmu najbliżsi – zawsze uciekaliśmy, uciekaliśmy z kultury w niekulturę, porzucaliśmy „myśl”, żeby odnaleźć „byt”. I zawsze natykaliśmy się, natykaliśmy na głupstwo albo zbrodnię. Nasze perypetie wskazują, że nie wolno nam wychodzić poza binarny układ.

I właśnie tę zasadę rachunku – dotychczasową gwarancją przetrwania – sztuka współczesna, i nie tylko ona, musi rozbić. Wiem o tym, sam to odczuwam. Ale... ale jeśli taka jest nasza przyszła racja, to najpierw dla kultury (myślenia, nauki, filozofii, polityki, sztuki...) powinna zostać stworzona nowa alternatywa – która zapewni możliwość innej binarności. Miejscu naszemu, miejscu gdzie wszystko możliwe, musiałyby zostać przeciwstawione miejsce Jedni, Jedno Miejsce. I aż strach pomyśleć o mojej zamierzonej książce, w której Swawolny Dyzio Ze Zwariowanymi Pomyślami – ukaże oto swą nieprzekupną twarz konserwatysty.

**„JESTEM PROROKIEM, KTÓRY POZNAŁ WSZYSTKO CO LUDZKIE – więc jestem prorokiem gestwiny nietkniętej ludzką ręką”.**

Chwila cichej zadumy. Na pluszowym fotelu niemal cały dorobek. Przede mną opasłe, skórzane albumy pełne filatelistycznych osobliwości, „błędodruków”, unikatów. Wśród nich szarobrunatny okaz z wyspy Wisbymeadows z mnichem morskim i syreną splecionymi w miłosnym uścisku i czerwoną Salantung z herbem królestwa, Łakomymi Ustami Opatrzności.

W kąci spokojnie bawi się dziecko. Moje dziecko. Zawsze ta sama, zawsze ta sama ulubiona zabawa. Miesza w garnuszku ryż z gryczaną kaszą, ryż z gryczaną kaszą, z gryczaną kaszą, kaszą, kaszą, kaszą. Przez okno wpada do pokoju blask neonów. Zapalają się i gasną. Zapalają się i gasną... i gasną... gasną... Jeśli się ma odrobnie wyobraźni (któż jej nie ma!), widzi się fale morskie rytmicznie dobijające do brzegu... do brzegu... DO BRZEGU...

Andrzej Falkiewicz

(ur. w 1929 r.), eseista i krytyk teatralny. Debiutował w 1958 r. na łamach prasy literackiej jako krytyk teatralny. W latach 1962-1967 był kierownikiem literackim Bałtyckiego Teatru Dramatycznego w Koszalinie. Od 1967 r. mieszkał we Wrocławiu. Ostatnie lata życia spędził, mieszkając w Puszczykowie pod Poznaniem. Opublikował tomy prozy: *Ledwie mrok* (1998), *Światliste* (tom oczekiwany) oraz książki eseistyczne: *Mit Orestesa. Szkice o dramaturgii współczesnej* (1967), *Teatr – społeczeństwo* (1980), *Polski Kosmos. Dziesięć esejów przy Gombrowiczu* (1981), *Takim ściegiem*: (1981), *Fragmenty o polskiej literaturze* (1982), *Jeden i liczba mnoga, Nie ja – Edwarda Stachury* (1995), *Coś z mądrości i lenistwa, snu prawie. Świat pisarski Mieczysława Piotrowskiego* (1995), *Istnienie i metafora* (1996), *Być może: być – w stu trzydziestu czterech odsłonach* (2002), *Na prawach rękopisu: wielka mała proza Jerzego Pluty* (2005), *Takim ściegiem: zapisy z lat 1974-1976, przepisane w 1986, przeczytane w 2008* (2009). Zmarł 22 lipca 2010 r. Fragmenty pochodzą z przygotowywanej do druku książki Andrzeja Falkiewicza *ta chwila*.



## Andrzej Falkiewicz (1929-2010)

Jarosław Borowiec

Był intrygującą osobowością, chociaż sam siebie nazywał „anomaliją”. Czuł się samotnikiem. Cenił sobie sytuacje graniczne, czas dezorientacji i niepewności. Lubił intrygować, być w poprzek tego, co uporządkowane. Było w nim nie tylko dużo przekory i uporu, ale także dystansu i uśmiechu...

Andrzej Falkiewicz – krytyk, filozofujący teoretyk, eseista, prozaik, metafizyk wyprawiający problem bytu z metafory. Urodził się 5 grudnia 1929 roku w Poznaniu. Pochodził z bogatej, przemysłowej rodziny – ojciec był właścicielem fabryki perfum i kosmetyków. „Fabryka założona w 1911 roku w Paryżu” – taki napis widniał chociażby na słynnym w przedwojennej Polsce pudrze i kremie „Śnieg Tatrzański” produkowanym przez Wacława Falkiewicza. Po wojnie, przez dwa lata w zastępstwie ojca młody Falkiewicz prowadził nawet rodzinną firmę. Wybrał jednak inną drogę, chociaż „świat kosmetyków” pozostał mu bliski. Odzywało się to w licznych rozmowach czy pieczołowicie kolekcjonowanych międzywojennych etykietach perfum. Z różnym natężeniem powracały także jego pasje – filatelistyczna i numizmatyczna. Od lat zbierał również pocztówki, szczególnie te, które przyciągały go jako przykład kiczu.

Zajmując opowiadał o winach i koniaku – o destylacji, dojrzewaniu, kupażowaniu. Kiedy podczas jakiegoś spotkania zostałem przylapany na nieznamości odmian tokażu, w trakcie następnego wizyty na stole stało kilka butelek tego trunku, a ja odbyłem lekcję poglądową. Fascynowały i cieszyły go kulinarne eksperymenty. Kuchnia była niemal sakralną przestrzenią, w której nie wszystkim pozwalał przebywać.

Mówił, że jego życie i pisanie, kiedy przepatruje je po latach, przypomina mu czasami wańkę-wstańkę, którą pamięta z wczesnego dzieciństwa. „Zawsze kolorowo ubrana, zawsze z pogodnym obliczem. Jakkolwiek ją podrzucisz – staje głową do góry, z odsłoniętym czołem. Przyznasz, że to korzystna dla autora charakterystyka?” – pytał z błyskiem w oku.

Z wykształcenia był ekonomistą, który poświęcił się humanistyce. Debiutował w 1958 roku szkicem *O teatrze Sartre'a* na łamach „Dialogu” (nr 7), gdzie opublikował większość swoich późniejszych tekstów o teatrze, które złożyły się na jego pierwszą książkę *Mit Orestesa. Szkice o dramaturgii współczesnej* (1967). Przez lata pełnił także funkcje kierownika literackiego: najpierw w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym w Koszalinie (1964-67); później w Teatrze Współczesnym im. E. Wiercińskiego we Wrocławiu (1968-70 i 1973-84); w Teatrze im. W. Bogusławskiego w Kaliszu (1970-73), w Teatrze Studio w Łodzi (1981-86) i w Teatrze Polskim we Wrocławiu (1990-95).

Teatr był zawsze ważną częścią jego życia. Nigdy jednak nie interesowało go aktorstwo ani techniczne możliwości sceny. W jego przypadku była to „teatralność życia”. Poprzez teatr oglądał naszą codzienność, międzyludzkie relacje i społeczne mechanizmy. Intrygowały go sytuacje i miejsca, „które nakładały konieczność form, a zarazem stawały się skłamanie w oczach obserwującego samotnika”.

Bliski był mu Gombrowicz, którego traktował jako duchowego patrona, „mistrza pograniczności”. W 1981 roku opublikował pierwszą w Polsce książkę o „Wielkim Witoldzie” – *Polski kosmos. 10 esejów przy Gombrowiczu*. Tytułowe „przy” stało się znakiem rozpoznawczym pisarstwa Falkiewicza. W książkach o literaturze – co wcale nie zjednywało mu zwolenników – nie proponował biograficznych informacji o pisarzu, ale to, co pomyślał przy okazji lektury. Takie są jego *Fragmety o polskiej literaturze* (1982), czy opublikowane w ubiegłym roku *Znalezione. szkice do książki. Za każdym razem szukał pisarza, który dawał mu szansę radykalnie osobistej lektury. Cenił Leopolda Buczkowskiego, od lat pozostawał wierny Tymoteuszowi Karpowiczowi, osobną książkę poświęcił Mieczysławowi Piotrowskiemu. Krytykę traktował jako pisarstwo, odrębną twórczość na marginesie dzieł pisarzy.*

Doskonale wiedział, że jego książki nie są książkami do poczytania. Proponował lekturę radykalną. Taki jest *Ledwie mrok* (1998) – jego prozatorski debiut, który skonstruował tak, aby „wzbudzał bezradność”, czy *takim ścięciem* (1991), gdzie tropił sploty literatury z życiem, oglądał własną prywatność.

Bliska mu była także filozofia, którą w latach 1994-96 wykladał na UAM w Poznaniu. Był także autorem dwóch książek filozoficznych *Istnienia i metafory* (1996) i *Być może* (2002).

Poznaliśmy się jakby przy okazji, gdy w 2004 roku nagrywałem rozmowę dla „Tygodnika Powszechnego” z Krystyną Miłobędzką. Był jej mężem od 1964 r. Z czasem stałem się częstym gościem ich zawsze otwartego, pełnego ciepła i naturalności domu. Z tych spotkań, fascynacji ich osobowościami, zainteresowania twórczością powstała książka *Szare światło* (2009). Dzieliło nas dokładnie pół wieku, ale nigdy nie przyjmował roli nauczyciela. Nie znosił kazań. W jednej z naszych rozmów powiedział: „Umierać spokojnie i w pogodzeniu, że nic nas nie czeka, to bardzo niewiele – ale to jest wszystko, co można stąd zabrać. Wszystko, co jest do zdobycia. Reszta – jeżeli jest jakaś reszta – to suspens, niespodzianka...”

Jarosław Borowiec

(ur. w 1979 r.), dr w Zakładzie Semiotyki Literatury UAM w Poznaniu. Autor książki *Zadura. Ścieżka wiersza* (2008) i *Szare światło. Rozmowy z Krystyną Miłobędzką i Andrzejem Falkiewiczem* (2009). Przygotował do druku album rysunków Marcina Świetlickiego *Rysunki zabrane* (2009). Redaktor w krakowskim Wydawnictwie Austrii. Publikował m.in. w „Tygodniku Powszechnym”, „Twórczości” i „Nowych Książkach”. Mieszka w Poznaniu. Prezentowany powyżej tekst po raz pierwszy ukazał się w „Tygodniku Powszechnym” nr 32/2010.

## DO NAS NALEŻY JEDYNNIE GŁOS

(cd. ze s. 1)

Nie powiem nic specjalnie nowego. Język, jak zauważył kiedyś William Burroughs, jest wirusem, który tak jak wiele innych drobnoustrojów przylgnął do nas w trakcie ewolucji i pozostał już na stałe, konstytuując to, co tworzy gatunek *homo sapiens*. Od pewnego momentu dziejów wirus-słowo zaczęło wykorzystywać jako narzędzie kontroli umysłu. Być może nawet od samego początku. „Na początku było słowo” mówi najstarsza znana księga świata. Istotnie, gdy mówimy, co właściwie mówimy? Do nas z pewnością należy jedynie głos, niemal prawie cała reszta to struktura języka, składnia itd. Trudno zatem oczekiwać, aby przy pomocy tego urządzenia można było wypowiedzieć bardziej skomplikowane i często sprzeczne z logiką samego narzędzia myśli. Oczywiście od dawna już próbujemy ripować ten wetwerek, co chyba najlepiej udaje się w poezji czy pewnych odmianach filozofii, ale wciąż czyste myślenie pozostaje dla języka nieosiągalne.

**Dla twoich prac właściwie można uruchamiać dowolne konteksty filozoficzno-literackie. Może cię to zdziwi, ale kiedy oglądałem Pozytywy w Pradze, pomyślałem o teatrze okrucieństwa Artauda. Bo przecież u źródła tych transgresyjnych zdjęć leży pytanie o esencję tego, co nazywamy złem, a co dobrem. Czy Zbigniew Libera w ogóle zajmuje się w swojej sztuce kwestiami nominalnie nazywanymi etyką?**

Nie pozwalała mi o tym zapomnieć! Osobiście skłonny jestem raczej myśleć o własnej działalności, jak i zresztą o sztuce w ogóle, jak o dziedzinie nauki, gdzie sprawy etyki są drugorzędne. Bynajmniej jednak nie bez znaczenia. Kwestie etyczne ulegają ciągłym zmianom, zaś prawa natury pozostają trwałe, czy to się etyce podoba czy nie. Jedyne, co mogę tu powiedzieć, to tyle, że liczą się intencje: jeśli ktoś dokonuje ważnego odkrycia z myślą o tym, jak bardziej jeszcze zniewalać czy skuteczniej zabijać, to oczywiście jest to naganne. W końcu jednak nawet te „złe” wynalazki potrafiłoby wykorzystywać dla pozytywnych celów.

**Zbysku na koniec dwa pytania plebiscytowe. Czy ostatnio czytałeś coś, co cię mocno poruszyło: mam na myśli poezję, prozę lub esej?**

Duże wrażenie zrobiła na mnie książka pod tytułem *Świat bez nas* Alana Weismana, wydana przez gliwickie wydawnictwo CKA. Podoba mi się także autobiografia, jak głosi podtytuł, ale w rzeczywistości wywiad-rzeka z Tomaszem Stańko pod tytułem *Desperado*. Jeśli chodzi o poezję, to zwrócił moją uwagę młody poeta Andrzej Szpindler, którego książkę wydało ostatnio wydawnictwo Ha-Art! Niestety nie pamiętam tytułu, a nie mam tej książki przy sobie.

**No i finalnie jak zmartwychwstanie pytanie: co sądzisz o walkach o krzyż na Krakowskim Przedmieściu. Czy to już jest wcielony Witkacy i Gombrowicz, czy może postmodernizm stosowany?**

Powiedziano już na ten temat dużo, wręcz zbyt dużo, strasznie się przy tym denerwując. Proponuję więc nieco bardziej zdystansowane spojrzenie. Spojrzenie przez pryzmat myśli Giorgio Agambena. W swojej niewielkich rozmiarów książce, będącej w istocie apologią profanacji, definiuje on religię jako to, co przenosi rzeczy ze sfery prawa ludzkiego w inną odseparowaną sferę. Profanowanie byłoby zatem ponownym umiejscowieniem tych odseparowanych rzeczy w sferze ludzkiego użytku. Przejścia od *sacrum* do *profanum* można dokonać poprzez niestosowne użycie rzeczy świętej. Na przykład podczas zabawy.

Dziedziny *sacrum* i zabawy są ze sobą ściśle powiązane, tak zresztą jak dziedziny sztuki i *sacrum*. Wiadomo, że prawie wszystkie znane nam gry i zabawy wywodzą się z pradawnych obrzędów sakralnych. To, co kiedyś było atrybutem boga czy kapłana, dziś jest dziecięcą zabawką. Polski Kościół za wszelką cenę pragnie zablokować możliwość profanacji swoich świętych przedmiotów, między innymi poprzez prawny zapis o poszanowaniu krzyża. Przypomnieć wypada tu słynną sprawę Doroty Nieznalskiej. W ten sposób kapłani zabezpieczyli się przed profanacją ze strony sztuki, lecz nie można zabezpieczyć się przed nieuchronnym, które zawsze nadchodzi z tej niespodziewanej strony. Zabawa odrywa ludzkość od sfery *sacrum*, jednocześnie wcale jej nie obalając. Tak więc uczestnicy zabawy na Krakowskim Przedmieściu, tego swoistego moherowego karnawału, używają krzyża w sposób dowolny, wynajdując dla niego różne nowe zastosowania, na przykład jako lany lub budując konstrukcje w kształcie krzyża z puszek po piwie Lech, a jednocześnie wcale nie naruszając sfery *sacrum*.

**Bardzo ci dziękuję za rozmowę.**

Zbigniew Libera

(ur. w 1959 r.), artysta, autor instalacji, wideoinstalacji, fotografik i performer, twórca obiektów artystycznych. Jest uznawany za prekursora sztuki krytycznej, tzw. sztuki ciała oraz estetyki *gueer*, którą wprowadził pod koniec lat 80. w swoich fotograficznych autotypach. W swoich pracach analizuje i krytykuje przyjęte konwencje, kulturę (masową), tradycyjne modele wychowania. Bada relacje między sposobem wychowywania dzieci a ogólnie przyjętym postrzeganiem cielesności, m.in. tworząc makabryczne „zabawki”. Porusza kwestie manipulowania obrazami przez popularne media. Głównym celem jego twórczości pozostaje jednak własne doświadczenie – konfrontacja z rzeczywistością. Jedną z jego bardziej znanych prac jest projekt *LEGO. Obóz Koncentracyjny* (1996). Projekt ten składa się z fotografii i opakowań klocków Lego tworzących zestaw – obóz koncentracyjny. Firma LEGO udostępniła Libera klocki za darmo, bez rzeczywistej wiedzy o jego projekcie i nieświadoma wykorzystania ich w tym celu. Jednakże, gdy na pudełkach pojawił się kontrowersyjny napis „sponsored przez LEGO Systems”, LEGO wyparło się sztuki Libera. Inne projekty artysty to: *Co robi łączniczka?* (2005, książka, której współautorem jest Darek Foks), *Pozytywy* (2002-2003, cykl fotografii, trawestujące obrazy z gazetowych reportaży, ukazujące wydarzenia „traumatyczne”, m.in. wojnę, obóz koncentracyjny, trupy żołnierzy), *Mistrzowie* (2003, cykl powstały jako protest artysty, ze względu na odmowę pokazania *LEGO. Obóz koncentracyjny* na weneckim Biennale w 1997 r.), *Urządzenia korekcyjne* (1989, seria przedmiotów-dzieł sztuki, które naigrawają się z nowych towarów „zachodnich”, służących nadmiernej estetyzacji ciała, a które wchodziły na polski rynek po upadku komunizmu.), *Jak tresuje się dziewczynki* (1987, film, ukazujący czteroletnią dziewczynkę, która jest uczona przez starszą kobietę, jak się malować, jak podobać się płci przeciwnej), *Obrzędy intymne* (1984, film, w którym Libera ukazuje siebie, jak opiekuje się własną babcią, Regińą G., będącą już schorowaną osobą, niemającą kontaktu z otaczającą rzeczywistością). Od 2006 r. Libera prowadzi nomadyczny tryb życia. Od 2009 r. działa jako profesor na ASP w Pradze. Współpracuje z Galerią Raster.

# O TRIUMFACH LITERATURY

z Justyną Bargielską rozmawia Bartosz Sadulski

**Bartosz Sadulski:** Zastanawia mnie, jak pani przyjmuje pozytywną reakcję na *Dwa fiaty*. Czy fakt nagradzania, recenzowania i rozmawiania o książce tak osobistej jest raczej źródłem nie spodziewanej radości, czy niepokoju?

Justyna Bargielska: Pan to nazywa „pozytywną reakcją”, ale umówmy się, ile osób przeczyta tę tak osobistą książkę, tysiąc? Moja podstawówka miała tylu uczniów. Gdyby wszyscy uczniowie mojej podstawówki przeczytali mój pamiętnik, zapewne byłoby mi niezręcznie, ale nie jestem w podstawówce, a i *Dwa fiaty* nie są pamiętnikiem. Niepokój? A czego powinnam się obawiać?

**A chociażby błędnych odczytań i złośliwych zestawień, jak to, które ciągnie się za panią od debiutu, czyli ten nieszczęsny Kurt Vonnegut. Nieszczęśliwe jest ono o tyle, że o Andrzeju Sosnowskim raczej nikt nie powie, że gdyby miał cipek, nazywałby się Elizabeth Bishop. Równie protekcyjnie wypowiedział się Marcin Sendek, pisząc, że dzięki pani pisanie kobiet ma dużą przyszłość. Bycie interesującą poetką w Polsce to przekleństwo?**

Vonnegut przyczepił się do mnie dopiero przy drugiej książce i nie przesadzę, jeśli powiem, że była to w ogóle jedna z dwóch recenzji, jakie ta książka miała, więc byłam wdzięczna losowi, że mam oto widomy, drukowany znak tego, że ktoś *China shipping* przeczytał. Błędne odczytania mnie nie martwią; gdyby mi ktoś porwał rękopis z szuflady, błędnie odczytał i jeszcze podzielił się tym ze światem, byłoby mi dziwne, ale skoro sama decyduję się upubliczniać to, co piszę, to błędne odczytania są trochę jak argon w powietrzu. Można sobie wyjść z domu i zaraz za progiem zacząć rozpaczając „noż, jak ja nie cierpię tego argonu”, i traktować ten argon personalnie, ale taki jest skład powietrza – i tyle. Zresztą to nie są błędne odczytania: to są odczytania inne od tego, jakie byłoby odczytanie autora, gdyby jego zadaniem było odczytywanie tego, co napisał, a nie pisanie.

Jeśli jestem dobrą poetką i jeśli jesteśmy w Polsce, to nie, nie czuję się przeklęta. Ale nie mogę się wypowiadać za koleżanki. Zwłaszcza za te, którym poczucie bycia niedowartościowaną i pominiętą wpływa korzystnie na wydajność procesu twórczego.

**Znana jest pani z niezbyt aktywnego uczestnictwa w tzw. „życiu literackim”, na które składają się chociażby spotkania autorskie. W rozmowie opublikowanej w „Res Publice Nowej” wspomniała pani, że większa częstotliwość publicznego czytania swoich wierszy powoduje wzrastającą sympatię dla własnych tekstów. Tutaj narzuca się kilka pytań: co najbardziej panią drażni w życiu literackim? I czy można oczekiwać, że w najbliż-**



**szym czasie Justynę Bargielską będzie równie trudno spotkać na żywo, co pandę?**

Nic nie mam do życia literackiego, póki się toczy równoległe do moich – rodzinnych, zawodowych, szcątkowych towarzyskich – życie. Gdy się przecinają, gdy splot niekorzystnych okoliczności sprawia, że jestem na swoim spotkaniu autorskim, czuję po prostu, że się nie sprawdzam. Nie sprawdzę się i jeszcze dostać za to pieniądze, to jest demoralizujące. Z tą pandą to lekka przesada, już w połowie grudnia wystąpię w Łodzi, podczas gdy zaledwie w czerwcu występowałam w Gdyni. Szaleństwo!

**Swoistym szaleństwem, zaklasyfikowanym, przez Marka Trojanowskiego jako „próba samobójstwa”, było wystanie mu książki *Dwa fiaty*, z której recenzja znalazła się na stronie *historiamoich-niedoli.pl*, wraz z interesującą dyskusją poetki z krytykiem. Zastanawiam się nie tylko nad celowością takiego działania, w wyniku którego można panią posądzić o literacki masochizm, ale też nad tym, czy odczuwa pani potrzebę weryfikacji, rozmowy o tym, co i jak się o pani książkach pisze.**

Kompletnie nie odczuwam. Książkę Markowi wysłałam, bo się skarżył, że nie ma o czym pisać, a w dyskusji wzięłam udział, bo mnie o to poprosił. Że ta dyskusja była interesująca, to już jest tylko pana i chyba dość odosobniona ocena. Czy mówiąc o literackim masochizmie, ma pan na myśli godzenie się z tym, że – abstrahując od odczytań – recenzja pracy autora może być i do-

bra, i zła, i może jej wcale nie być? Zresztą nie musiałabym Trojanowskiemu niczego wysyłać, gdyby wydawnictwa wciągnęły go na odpowiednie listy i po każdej premierze posyłały mu egzemplarze recenzentki. Nie przeceniając merytorycznej i marketingowej roli jego bloga, nie warto mimo wszystko rezygnować z szansy usłyszenia kolejnej opinii, zwłaszcza w przypadku książek, których pozytywne recenzje wyglądają co najwyżej na efekt dobrze działającej maszyny promocyjnej.

**To zaskakujące, że wierzy pani w istnienie maszyny promocyjnej, która miałaby działać dla tysięcy wspomnianych wcześniej czytelników. Gdyby istniała, to rzeczywiście – w pani przypadku spisała się znakomicie, podobno nakład *Dwóch fiał* już się rozszedł. A nie jest to przecież książka o malowaniu paznokci. Niemniej często wspomina pani (nie tylko w wierszach) o rodzinie, macierzyństwie. Wiążę się też z tym pani Szkoła Pisania Dla Mam. I tu znowu kilka pytań: czy mama to lepszy/ gorszy materiał na pisarkę, niż dajmy na to, tata, i czy ma pani ambicję, by być kimś w rodzaju ambasadora piszących mam? Czy zgodziłaby się pani na rozmowę np. z czasopismem „Mamo to ja”, która dotyczyłaby wychowania dziecka?**

Boże, jasne. Co prawda takie pisma kupuje się dla dołączanych do nich dziecięcych gadżetów, ale myśmy na przykład kupili ostatnio plecak z Cliffordem dołączony do czasopisma „Dziecko” i jak już nam się

znudził plecak, mogliśmy przeczytać felieton Agnieszki Graff o tym, czy pleć wśród dzieci istnieje. Dość szybko wróciliśmy do plecaka, bo jednak ma on tę przewagę nad felietonem Agnieszki Graff, że można do niego wkładać i wyjmować z niego różne rzeczy, a jeśli się na przykład włoży kanapki i soczki, to można iść, dajmy na to, tropić dziki, co otwiera nieopisane możliwości, których felieton Agnieszki Graff, mimo że przyjemny, nie otwiera. Owszem, wierzę w maszynę promocyjną, nawet ujęłabym to tak: oj, wierzę ci ja w maszynę promocyjną, wykrzyknik. To jest tylko kwestia skali, nie mechanizmu, do tysiąca cegieł też trzeba jakiś uruchomić, żeby się ich pozbyć.

Ambasador natomiast, proszę pana, to jest takie ciasto. Nie zastanawiałam się, czy mama jest lepszym materiałem na pisarkę, gdy wpadałam na średnio błogosławiony pomysł moich warsztatów, tylko czy mama ma trudniej niż tata, gdy chce sobie popisać (zasadniczo ma) i czy z mamą mogę się podzielić trikami, które sama przećwiczyłam w praktyce (zasadniczo mogę). Ja w ogóle bardzo lubię kobiety, inspirowałam mnie.

**A na przykład pisarki bardziej pani lubi od pisarzy (tak jak się lubi kolor niebieski)? Szczególnie pytam o poetki, bo ja się muszę wstydliwie przyznać, że bardziej mnie inspirowały poeci polscy, niżli poetki (z wyjątkami, jak Bargielska czy Podgórnik), co być może ujawnia skrywany szowinizm. Ostatecznie, czy bardziej inspirowały są poetki-mamy, czy może poetki-dziewice, zakładając, że są takie?**

Miałam na myśli kobiety w ogólności, ale niech tam.

Koleżanka użyczyła mi swojego paryskiego mieszkania na weekendową randkę z mężem, więc po powrocie poszłam do niej i mówię, że jestem do jej dyspozycji przez osiem tygodni od dziś, na co ona mówi, że może bym zrobiła coś kulturalnego, poetyckiego u niej w winiarni. Zrobiłam jej wtedy cykl tych warsztatów dla mam i zaczęłam też takie spotkania z poetkami. Była u nas Ania Tomaszewska, Magda Komoń i Asia Mueller, a szykowałyśmy się (czy wręcz – szukujemy) do paru następnych, z konieczności musiałam więc pochylić się, i to mocno, nad współczesną polską poezją, głównie żeńską, ale nie tylko, żeby było o czym rozmawiać. Mogę to ująć tak: czytając dziewczyny, też mam ochotę coś napisać, podjąć wątek, a, co tam – włączyć się w to. Oczywiście są to nieodpowiedzialne uogólnienia.

Wydaje mi się, że w przypadku polskiej poezji pisanej przez kobiety sprawdza się reguła, którą Carpentier opisał w odniesieniu do powieści. On napisał, że aby mogła powstać

wielka powieść w jakimś języku i narodzie tego języka, konieczna jest długotrwała, nieprzerwana praca wielu pisarzy, popychających ten nieukształtowany powieściowy twór we wszystkich możliwych kierunkach stylistycznych i ideologicznych, i innych też. Czytając współczesne polskie poetki, łącznie ze mną, mam wrażenie, jakbyśmy się wszystkie dokładały do tego czegoś, co dopiero powstanie. Odnoszę wrażenie, że pracujemy na sukces, który będzie sukcesem jednej z nas, ale tak naprawdę będzie, o mój Boże, triumfem literatury. I zaskakująco często mam poczucie, że jest to świadome, intencjonalne dokładanie się.

A z tymi dziewczynkami, to ja nie wiem.

**To ciekawe diachroniczne podejście daje mi idealną okazję do zapytania o protoplastów (czy raczej prekursorów? Chociażby intencjonalnych.) Justyny Bargielskiej. Przy okazji debiutu często padało nazwisko Romana Honeta i hasło „osmielona wyobraźnia”, ale Dwoma fiatami daleko od tego pani odjechała. Uściślając – Harold Bloom pisał, że „wielkie pisarstwo to silna (bądź słaba) błędna lektura tego, co napisano wcześniej”. Toteż jestem ciekaw, co pani błędnie przeczytała wcześniej – przy czym wyróżniłbym tu okres przed *Dating sessions*, i po, który zaowocował ostatnią, bardzo inną od debiutu książką.**

Nie pamiętam, co czytałam przed *Dating session*. Pamiętam, że byłam wtedy w takim rozkoszonym okresie życia wszechobecności poezji. W sensie: wszystko było takie poetyczne. Niewiele byłam w stanie po-

wiedzieć sama z siebie, ale sposób, w jaki przerabiałam przeczytane, usłyszane, zobaczone i przeczone, też stanowił, jak patrzę teraz na te wiersze, jakąś wartość. No i szaloną inspiracją była dla mnie zawsze *Mala encyklopedia przyrodnicza* z 1957 roku, pod redakcją Maślankiewicza, ale to już bliżej *China shipping*. A *Fiaty? Piękna młynarkę* napisałam po przeczytaniu *Pocalunku kobiety pająka*. Prawda, że znakomity przykład błędnego przeczytania? Nie przyłapie mnie pan na czytaniu poezji dla wyłącznej przyjemności, niestety, przyjemność dają mi teksty, które mają powyżej dwustu stron, początek, środek i koniec, najlepiej z morałem. Bardzo prędko się wyłączam przy arcydziełach języka, jeśli język jest ich główną wartością.

**Chciałem o ten wspomniany wiersz zapytać na końcu, ale skoro już jest o nim mowa, to: skąd młynarka „ma dar też fajny, że ożywia mięso”, i czy pantera z tego wiersza ma cokolwiek wspólnego z Panterą Rilkego?**

Dar, jak to dar – od Boga. To akurat jest nudne i nie potrzeba chyba o tym mówić. W przypadku darów niekontrowersyjnych, jak ożywanie mięsa, darów, powiedzmy, radosnych, konstruktywnych nudzi mnie też trochę zastanawianie się, skąd przyszły i co należy z nimi zrobić. Ciekawsy jest dar pantery, czerstwiej chleba. Wedle tego, jak staram się rozumieć świat, dar pantery też pochodzi od Boga, a jest co najmniej dziwny, nieproduktywny, wręcz zbędny. Jest

taki, zwłaszcza jeśli się przyjmie, że podstawowe ograniczenia pantera dzieli przecież z młynarką. Ten dziwny dar okazuje się jednak być przydatnym, gdy zobaczymy, co może nieść ze sobą ożywczy dar młynarki – a może on nieść zamęt i nieprzewidziane skutki. Nie możemy do końca przewidzieć konsekwencji, jakie przyniesie nam korzystanie z naszego daru. Ale jeśli umiemy np. rozbrajać bombę atomową rakieta do tenisa, to pamiętajmy o tej umiejętności i cieszyć się nią, bo może nam się przydać, gdy nasz dar nas troszkę przerośnie. Z Rilke moją pantera ma może wspólne łagodne spektrum autyzmu. A może nie. Nie wiem.

**Wkrótce w wydawnictwie Czarne ukaze się pani debiutancka proza, którą reklamuje pani: „Dla ceniących nie tylko dobre wspomnienia, bo jedną z metod szukania sensu jest dla nich analiza straty”. Czy pani proza pełni, podobnie jak *Dwa fiaty*, funkcję na swój sposób reparacyjną? Hanna Segal twierdziła, że źródłem artystycznej kreacji należy upatrywać w dążeniu jednostki do przezwyciężenia pozycji depresyjnej i zajęcia postawy realistycznej. Czy pisanie krótkich próz jest właśnie (w przeciwieństwie do pisania wierszy) zajęciem pozycji bardziej realistycznej? Czy to jest właśnie to, co pociąga panią w pisaniu prozy?**

Jak ładnie to państwo ujęli z panią Segal w tym rozbudowanym pytaniu, do którego nie wiem, od której strony mam się zabrać. Zajęcie postawy realistycznej w przypadku mojej prozy mogłoby polegać, tak myślę, na

tym, żeby przez taki a nie inny wybór opisywanych wydarzeń, osób i uczuć spróbować osiągnąć coś w rodzaju wybaczenia za to, że się nie dość dobrze było „wtedy”. Jest to duży grzech, bo wtedy „wtedy” to było „teraz”, a skoro wiemy i wierzymy, że tylko *teraz* do nas naprawdę należy, to prawdopodobnie nie mogliśmy zrobić nic głupszego, niż niewystarczająco być „wtedy”. Teraz możemy to tylko opisać. I wcale nie musimy robić tego jak Anda Rotenberg w *Proszę bardzo*, bo ocena odwagi, na jaką zdobywamy się, mierząc się z przeszłością, należy tylko do nas samych. Coś, na co tak bezwzględnie nie mamy wpływu, przeszłość, jest wystar-



Justyna Bargielska

(ur. w 1977 r.), poetka, społeczniczka. Opublikowała zbiory wierszy: *Dating Sessions* (2003), *China Shipping* (2005), *Dwa fiaty* (2009). Laureatka III edycji konkursu poetyckiego im. Rainera Marii Rilkego (2001), nagrody specjalnej na konkursie im. Jacka Bierzina (2002) oraz NL GDYNIA (2010). Mieszka w Warszawie.



## RECENZJE



Po odświeżających powieściach Doroty Masłowskiej w młodej polskiej prozie nastąpiła moda na groteskę, inwersję w zdaniu, przetwarzanie na literaturę języka ulicy. Apologeci Masłowskiej wychodzili na tym różnie. Najlepiej ci, którym szybko udało się porzucić maniery na rzecz własnego stylu. Ale byli i tacy, którzy od początku pisali w swojej ciepłej niszy – odporni na mody, niezależni. Groziła im literacka egzystencja w „szarej strefie”? Czy ra-

czej wykształcenie „własnego głosu”? Błażej Dzikowski – jeden z najciekawszych przedstawicieli pokolenia trzydziślatków – postawił na literaturę pełną wrażliwości i skupienia. Nieefekciarską, tylko na swój sposób subtelną. Niebezpieczny komplement w tych krzykliwych czasach? Tym cenniejszy. Przywykliśmy do tego, że inteligentnie znaczy ironicznie. Młodzi autorzy zaczęli mylić dojrzałość z cynizmem. Dzikowski pisał wtedy kawałki na swoją modłę. Jego proza jest tak intymna, kameralna, wiarygodna, że autor jawi się jako ktoś odważny, może nawet bezwstydy. Proszę jednak nie myśleć, że elegancja, delikatność oznacza monotonię. *Strażnik parku* – najnowsza powieść Dzi-

kowskiego świadczy o tym, że jest zupełnie inaczej. Niedosłowne dowcipy, sugestie i nastrojowe, niemal liryczne tło – tylko podkreślają odrealnione sceny z udziałem szkolnego nieudacznika Gabriella i zbuntowanej, neurotycznej Soni. I pal sześć historii, która jest – owszem – brawurowa i wciągająca, kryminalna i buńczuczna – Dzikowski czyta się także dla niuansów, scen, które odmalowuje z taką intensywnością, że czytelnik czuje zapach deszczu w parku, wilgoć w pustym kościele, kompost wielkomiejskich zapachów. Nie nągając rzeczywistości, Dzikowski po mistrzowski wprowadza nas w logikę marzenia sennego: choćby przy pomocy przedmiotu, który zmieniając

kontekst, staje się nagle przedmiotem surrealistycznym: jak czapka z cekinem-lusterkiem, pistolet, po którym maszeruje mrówka, serce-zabawka. To jest powieść o genezie zła, a zarazem o szansach, jakie ma dobro. Filozoficzno-poetycki i nieco punkrockowy *Batman*. Ponury, pełen przemocy i głupoty świat subtelnie równoważy czyjeś zdjęcie w telefonie, smaczne papierosy, wspólne liczenie gwiazd.

Błażej Dzikowski, *Strażnik parku*, Świat Książki, Warszawa 2010.

Agnieszka Wolny-Hamkało



Komentując książki, które trafiły do finałowej siódemki tegorocznej edycji Nagrody Literackiej NIKE, jedna z jurerek, Iwona Smolka, stwierdziła, iż niewiele jest w Polsce rasowych prozaików. Pomijając fakt, że kiedy mój komentarz do tego komentarza ujrzy światło dzienne, będzie już kilka tygodni po zawodach – takie generalizowanie na podstawie średniej z jednego roku, wyciągniętej przez kilkanaście osób, preferujących akurat „rasowych poetów”, wydało mi się trochę nie na miejscu. Lecz mniejsza o to: za rok kolejne zawody, a po drodze jeszcze kilka innych wyścigów, z innymi składami sędziowskimi i może się okazać, że jednak proza, nie poezja Polska stoi. Po odsluchaniu internetowej rozmowy z rozdającą punkty, długo zastanawiałam się, co to znaczy rasowy pro-

zaik albo rasowy poeta. Nie, że nie znaczy nic, ale mieści w sobie tyle sensu, iż w efekcie nie pomaga we wskazaniu konkretnego typu, który odpowiadałby wyabstrahowanemu modelowi „rasowości” lub zbliżał się do doskonałości. Ta zaś, zważywszy na różnorodność upodobań, jest po prostu rzeczą względną i doprawdy szkoda czasu, żeby tego można dowodzić. Kiedy próbuję z pamięci wyłowić ekwiwalent prozatorskiej rasowości, myślę sobie, jakże banalnie, Proust i Joyce. I dalej, już nie po nazwisku, autor powieści „totalnej”. Przy zastrzeżeniu, że totalność należy do tego samego typu pojęć, co wyżej wskazane – rozsadzających ramy każdej definicji. Powiedzmy jednak – by wreszcie uzasadnić, dlaczego to wszystko wypisuję – że zmontuję swoją definicję z elementów, które można znaleźć w najnowszej powieści Ignacego Karłowicza zatytułowanej *Balladyny i romanse*. Dwie płaszczyzny narracyjne: ziemską i niebiańską. Wielu narratorów (w tym spersonalizowa-

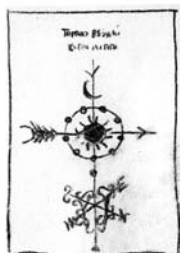
ne, a więc obdarzone mową rzeczy oraz pojęcia) i zmieniających się typów narracji. Pomieszenie konwencji i poetyk w postmodernistycznym duchu. Dalej: poplątanie gatunkowe, chaotyczne (no, powiedzmy) poprzelatanie ze sobą różnych tropów i swobodne, acz nieprzewidywalne, przechodzenie od komedii do tragedii. A to wszystko doskonale skomponowane – przy czym przez doskonałość rozumieć idealne dostosowanie się do dziwacznej historii, jaka została tu opowiedziana. Jeśli doda się do tego mistrzostwo języka i erudycję autora, to zwirować można ze szczęścia, że się coś takiego dostało do ręki. Co stwierdzam zupełnie bez ironii – lektura była samą przyjemnością, nawet jeśli to była przyjemność podszyta masochizmem, bo z problemami i dylematami egzystencjalnymi powieściowych postaci, których Karłowicz stworzył całą armię, nie sposób się choć w pewnym stopniu nie identyfikować. Podsumowując: wszystko, co o tej książce można powiedzieć na pewno, to to, że jest powieścią. Zdaje się też, iż w zamyśle

autora ma być ona zamachem na totalność, czyli próbą zagarnięcia i opisania jak największej części rzeczywistości. Według mnie – zamachem naprawdę udanym. Także dlatego, że lektura pozostawia po sobie pewien niedosyt, poczucie, że nie znalazło się w niej wszystkich odpowiedzi na wszystkie pytania. Całe szczęście, bo gdyby tak było, to autor, dając w zasadzie otwarte zakończenie, zaprzeczyłby temu, co w *Balladyny i romanse* chciał przekazać. I może się mylić, może to jedynie moje subiektywne zamilowanie do takich karkołomnych prozatorskich wyczynów. Trudno. Ale chyba nie popełnię błędu, jeśli stwierdzę, że Ignacy Karłowicz rasowym prozaikiem jest, przy całej świadomości, że rasowość to oczywiście krytykanckie słowo-wytrych.

Ignacy Karłowicz, *Balladyny i romanse*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2010.

Marta Mizuro





1. Tomasz Różycki przyzwyczaił nas już do szczególnej kompozycji swoich książek – po 77 sonetach z tomu *Kolonie* (finalista nagrody NIKE), wydana właśnie *Księga obrotów* przynosi 88 numerowanych kolejno „ósemek”, podwójnych stanc pisanych w większości wierszem regularnym, w połowie rymowanych. Taki pomysł na budowę tomu – dodajmy, że ćwiczony od lat przez opolskiego poeetę – kaže zastanowić się nad ewolucją, jaką w ostatniej dekadzie przechodzi krótki wiersz. Czy nie jest tak, że coraz częściej mamy do czynienia z książkami złożonymi nie z pojedynczych, samowystarczalnych tekstów, ale z ciągów czy serii, obejmujących niekiedy cały tomik, które aż proszą, by traktować je niczym skomponowany z rozmysłem poemat, a nie tradycyjny „zbiór” osobnych wierszy pisanych przez kilka lat, ogłaszanych w prasie, a teraz zgromadzonych w mniej lub bardziej chronologicznym układzie? Przykładów na ten drugi model konstrukcyjny oczywiście wciąż nie brakuje, ale można odnieść wrażenie, że

przestał być modelem dominującym.  
2. Rygorystyczna forma stroficzna przyjęta w *Księdze obrotów* – siódmej książce poetyckiej autora, trzeciej nakładem Znaku – wizualnie bardzo ujedynoliciła jej odbiór, a numeracja tekstów dodatkowo skłania do odczytania całościowych, ponad poziomem wiersza czy wierszy sąsiadujących ze sobą. Mówią inaczej – dowolna „ósemka” wyjęta z tomu i przeczytana poza swoim kontekstem zgubi prawdopodobnie istotną część sensów wynikających z miejsca zajmowanego w *Księdze*. Jednocześnie ułatwienie, jakie stanowi dla autora obranie jednej formy gatunkowej, niesie ze sobą poważne ryzyko – ustalona z góry liczba wierszy (dwukrotność czterdziestu i czterech? 88 po 77?) wymaga napisania tylu właśnie tekstów, z których żaden nie będzie sprawiał wrażenia wypełniacza. Podążając numerologicznym tropem, otwieramy książkę *nel mezzo del camin*, a więc na wierszu nr 44: „Jak to się stało, że go ominęły / wszelkie nowe tendencje? Gdzie był wtedy?” [...] „ominęło go, został staroświecki, / niemodny, zgoda. Oto jego zeszyt”. Czy to podsumowanie, rozliczenie, rachunek zysków i strat? Przypomnijmy, że autor skończył w tym roku 40 lat.

3. Tematyczne repertorium Różyckiego ulega właściwie niewielkim zmianom od czasów

debiutu: zimne poranki, dom, łóżko, sen, mgła, szron, wrażenie bycia obserwowanym – jak szczególne znaki porzucane w rzeczywistości, ale zdające się wskazywać na coś niepojętego poza nią: „układanie przedmiotów / w kolejności, widocznej tylko z pewnej / wysokości. Odgadnij sobie ten kod”. Jeden z wierszy wspomina o „spowiedzi / odbytej nocą wobec tego świata / w pensjonacie Kosmos”? Nie mogą pozbyć się wrażenia, że nie o nazwę pensjonatu tu chodzi, ale o tytuł. O jakich obrotach mowa w książce? Ciało, aktywów, gotówki? Choć ilustracja na okładce sugeruje skojarzenia astralne, tekst podpowiada w kilku miejscach, że chodzi o handel, wymianę, a nawet podejrzany zażeniac „Facet, który kupił świat” to fraza, która powraca wielokrotnie jako incipit. Bohater, który dokonał transakcji „dostał szansę między cieniem a światłem”. Wiersz 16. Z *knajpianej szczyby* zdaje się wyjaśniać jego położenie: „człowiek, który właśnie kupił świat / za wygórowaną cenę” obserwuje przechodniów, ale sam też jest obserwowany przez „tego, który sprzedał świat / tej nocy”. Mrok i ciemność powracają w książce niemal na każdym kroku, odtwarzając charakterystyczną atmosferę tej poezji znaną z wcześniejszych książek: „raz wypuszczona / przez dziurkę od klucza noc nie chciała / się już złapać”. Ósemka to nie tylko opis

strofy, ale także powtarzalnego ruchu, krążenia, przelatowania przez centrum i symetrycznego oddalania się w obu kierunkach, zwykle w ciemności: „ogniki kreszące / ósemki ponad parkingami”, „całą noc powtarzam trasę, ćwicząc zakręty, / ósemki”, „dłoni skręca z mroku koślawa ósemkę”. Czy facet, który kupił świat, zrobił to, by go ratować? Transakcja kupna-sprzedaży jako swoisty zakład? „Ponieważ zrobił to z miłości, wierzy, / że nigdy się nie skończy, że są chwile, / które będą się świecić, się rozszerzać / tak bardzo, aż wypełnią sobą nicność”. A więc zaklanie, odmawianie, wywoływanie przedmiotów i chwil, które zaprzeczają absurdowi, rozpęchną się w przestrzeni przesłaniając ciemność. „Za jedną sekundę / owego światła da cenę poczwórą”. O takie obroty więc chodzi? Piękne ostatnie zdanie książki podpowiada, że było warto: „Jednak ciemność / jest normą, a światło wysiłkiem, ciepłem, / ofiarą, więc jeśli jesteś, świeć jeszcze”. O czym milczą ostatnie zdania książek? Dowiedzcie się sami.

Tomasz Różycki, *Księga obrotów*, Znak, Kraków 2010.

Marcin Kurek



Powiedzieć, że Adam Wiedemann robi użytek z codzienności, to zarazem trafić w sedno i wykorystać w niewybaczalny sposób językową kliszę – jedną z tych, które stanowią ulubiony przedmiot ironii i kpiny autora. Nie da się bowiem określić, co nie nosi tu znamion „codziennego”, co znajduje się poza codziennością: rozciąga się ona od językowych zwyczajów, przez ceremonie i celebracje, religię i erotykę, aż po literackie odwołania, nawyki i tradycje. Wiedemann patrzy na tę sytuację z niezmiennie ironicznym spojrzeniem. Chciałoby się powiedzieć, że na żadne inne nie ma u niego miejsca; świat

w wierszach poety jest skończoną, dopełnioną konstrukcją, która niczego konkretnego od autora ani czytelnika się nie domaga, pozostaje scalona i doprecyzowana. W wierszu *Wizyta u Starszej Pani* autor pisze: „Uczciwie mówiąc, nie masz tu nic do dodania / ani do odebrania, brak ci pokory oraz pychy.”; a potem, w puencie: „Na myśl o sobie chce ci się tylko ziewać / na tej szczególnej modlitwie poprzestań”. Gest obojętności, rezygnacji, kapitulacji rzuconej z lekkością i goryczą sarkastycznego uśmiechu służy tu otwarciu nowych horyzontów języka; poezja Wiedemanna pełna jest bowiem, jak zwykle, błyskotliwych fraz, ciętych ripost, obrazów zestawionych umiejętnie i brawurowo. Autor nieustannie neguje jednak bogactwo narracji, zwoździ czytelnika, pisząc: „W tym zdaniu / nie ma blasku, nie ma / piękna”, lub: „Wolę mówić, co zechcesz, lubię robić / wszystko dla innych, o ile /

za to zapłacę, taki jestem”. Wiersze Wiedemanna poruszają, chociaż deklarują niezdolność poruszania; ustanawiają w ten sposób kolejny poziom subtelnej literackiej gry (nawet, jeżeli nagromadzenie tego rodzaju komentarzy momentami przytłacza). Właśnie tutaj *Dywan* wprowadza do poetyki autora największą zmianę, „negacyjną” linią narracji wysuwa się z biegiem lektury na pierwszy plan. Jednocześnie nowy zbiór łączy i splata dwa różne oblicza prywatności oraz intymności znane z wcześniejszych tomów poezji Wiedemanna; odnaleźć można tu zarówno echo lekkiego, wylewnego, momentami beztroskiego głosu wydanych w 2008 roku *Filtrów*, jak i cięższą, „poważniejszą”, bardziej może agresywną dykcję starszego o rok *Pensum* (wyróżnionego Nagrodą Literacką GDYNIA). Chociaż wszechobecna ironia prowadzi czasem poeetę w ślepy zaułek, *Dywan* angażuje czytelnika

ka w lekturę niemal bez reszty. Nie jest przesadą stwierdzić, że w nowych tekstach Wiedemann po raz kolejny urzeka, a momentami wręcz rozczuła; jak choćby w wierszu *Namioty dla pielęgniarke*:

A zatem zgódź się, proszę, tak jak ja się zgadzam na rozpuszczenie w tobie, na rozbitcie we mnie, żeby nie było wstydu, niech już raczej proszek

spierze błęd, bezmiennie, niech wiatr zwieje ślad, niech pies się nie wywaha i niech nawet woda nie dostrzeże kamyczka, co jej w wiadro wpadł.

Adam Wiedemann, *Dywan*, Wydawnictwo WBPiCAK, Poznań 2010.

Paweł Kaczmarski



Piotr Matywiecki w nocie książki *może boże* Konrada Wojtyły pisze tak: „Patronat Becketta wydaje się niewątpliwą”. Można potraktować to wskazanie jako wyrok na poecie. Na szczęście Wojtyła uciekł spod ściany. Tom wydaje się przekonującym świadectwem odrobienia lekcji lekturowej, ale, co ważniejsze, wyciągnięcia z niej pozytywnych wniosków. Wiersz Wojtyły, niczym późne teksty Becketta, działa w międzysłowniu, w przebłyskach znaczeń, wylanających się z nieostentacyjnej metody lingwistycznej. Jeżeli do Becketta dodać Białoszewskiego, okazuje się, że ten amalgamat stwarza procedurę generowania liryki, która jest w stanie unieść traumatologię śmierci silnie określonej i nacechowanej. Głos z wierszy Wojtyły mówi o utracie ojca, o anihilacji ciała, o kresie komunikacji z drugim człowiekiem. Ten „głos” przypomina swoją konstrukcją nieco beckettowskie *Usta*, jednak nie o paraboliczność istnienia tu chodzi, ale bardziej

o mikroświat prywatnej traumy. Mielibyśmy więc przed sobą poetycki diariusz kresu, funeralny pamiętnik napisany językiem silnie zapośredniczonym w tradycji modernistycznej. Wojtyła pracuje na paru pojęciach, jego teksty organizuje zasada redukcji, co wcale nie prowadzi do efektów nadmiernego autotelizmu. To raczej próba odbudowy zaufania do lekcyjki, która w przybliżonym przy najmniej stopniu oddaje stan „po końcu”. Baudrilard byłby więc naturalnym adwersarzem Wojtyły – autora zaciekle broniącego prawa głosu „ja” ogłoczonego z obecności drugiego „ja”. Wydaje się, że żadna refleksja natury społecznej, historycznej, nie ma prawa bytu w tych wierszach. Analogicznie krótkie wiersze Wojtyły nie pozwalają sobie igrać z teodyceją. Wszystko rozgrywane jest na krótkim odcinku między przetrzutniami, w skróconym dystansie narracyjnym, w jakim przejawiają się słowa tego, który odchodzi, dopełnione twardymi kalkulacjami tego, który towarzyszy odchodzeniu. *może boże* posiada tę rzadką cechę interpretacyjnej dowolności, która warunkowana jest szczelnością kreacji świata w tych wierszach. Czytelnik bowiem staje się elementem klaustrofobicznej architektury wiersza, porusza się po z góry wyznaczonych przez

autora trajektoriach, od jednego „nic” do drugiego. Wojtyły udało się skomponować tom tak, jakbyśmy mieli wirować w cylindrze – idealnie gładkim (lekcyjka) i cudownie przewidywalnym (graniczna sytuacja śmierci). Silnie obecny jest również efekt lekturowego zmęczenia, konieczny dla poczucia żmudnej pracy, jaką na każdym z nas wykonuje śmierć. I jak w każdym przypadku dzieła żywiącego się negacją, tak i tym razem osiągamy razem z poeetą stadium absurdałnego stuporu. „Nic” jest wszechdobyłską zasadą istnienia, beznadziejność biologicznej pauperyzacji czyni z nas figury nieco komiczne, a skłonność do fetyszyzacji śmierci jest po prostu zabawna. Gdyby chcieć zgodzić się na wizję Wojtyły, jakiegokolwiek działania kreacyjne, poetyckie są jedynie smutnym przykładem megalomanii istot pozabawionych transcendentalnego mandatu. Jednakowoż pozostaje do naszej dyspozycji legendarne wyczucie estetyczne. Jeżeli przyjąć estetykę za dobrą monetę, przedłużającą nasze trwanie w obiegu żywych, to zmysł poety jest tu zdroworoządkowy. Tonacja fraz i większych bloków tekstu utrzymana jest w spójnej szarości – żadnych ekstrawagancji słownych, minimum środków wyrazu, oszczędne

granie prozodii. „Nie krzyczmy, nie wrywamy się”, wydaje się mówić wiersz Konrada Wojtyły. I jest w tym przekonująco dowcipny. Bo uczciwie należy przyznać, że wiersze z *może boże* doskonale zdają sobie sprawę, że granicą każdej rozpacz jest śmiech. W tym sensie probabilistyczny tytuł całości doskonale rezonuje z jednoznacznie diagnozami, opozycją je w pewien naddatek sensu, który czytelnik wytwarza w zależności od własnych przekonań czy światoodczucia. Wydaje się, że Wojtyła poddaje nam pod rozwagę materiał pogładowy, z którego możemy wyciągać wnioski w zależności od indywidualnej odwagi, skłonności do ontologicznej „wolnej amerykanki”, satysfakcji, jaką czerpiemy, kiedy ustawiamy sobie świat w najbardziej nasyconej, czarnej tonacji. Jeżeli oczywiście ktoś lubi takie „gry i zabawy”.

Konrad Wojtyła, *może boże*, Instytut Mikołowski, Mikołów 2010.

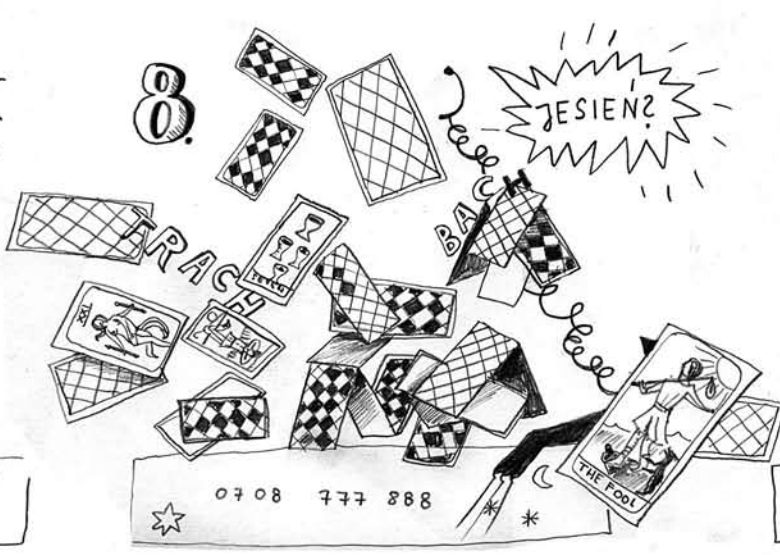
Krzysztof Nicz





0708 777 888

4 zł netto (4,88 zł brutto)



THE END

# Otwarty Turniej Jednego Wiersza

## I miejsce

Maciej Kotłowski

ars poetica i aktualności

jeszcze jeden stały fragment wiersza, że jest  
mięśny, trafiony wyplutą pestką czereśni.  
w punkt g, który chyba jest zmyłką  
i może wtedy lepiej szukać poza centrum.

stać się podejrzanym, kupując w megamarkecie,  
w godzinę największego obrotu, tylko puszkę najwyższej  
pnącej fasoli. ziarno puchnie, trzymane w buzi, wyrazy również.  
na desce rozdzielczej jamnik z ruchomą główką, raz macha tak,  
raz nie.  
czy podoba się dokąd jedziemy.

zmienić się w ćmy, ale najpierw pozwolić sobie skakać,  
na klatę z pomostu, w noc pełną żab, tytoniu i piwa.  
otwierając usta chcąc połknąć burzę  
i kwadratowe słońce. jeden piksel więcej, kropkę na czarnym tle,  
łączącą się z wierszem, chociaż go kończy.

II miejsce

Jakub Noga

W odinoczku spaszają się nie lizia  
(„nie można zbawiać się w pojedynkę”)

Czekałem ciebie jakbym snu miał mało  
wracając chodnikiem górą pod lasem  
czy z braku taksówki robiąc to nawet  
z dwiema seksownymi blondynkami

na tarasie hotelu owoce jedząc plulem  
pestkami aż zwątpiłem i zrobiłem się mały  
a mając na boku kontrakt z jednym gejem  
wierzyłem że wrócę sam do domu tylko że

dom to jest dajmy na to z krwi ludzi bądź  
zwierząt więc wymyśliłem lwa który czujnie  
patrzy przy mym boku idzie powietrze zre

zwierz to stary co najwyższej trzydziestoletni

człowiek którego nikt nie widzi oprócz Jakuba  
tego łajdaka pijaka złodzieja bandyty

więc idę patrząc oddycham

ledwo donoszę

że droga jak na początku lekko sunęła  
pięła się w górę potem w dół aż minąłem  
garaż ławkę i tak ofiarnie poświęciłem się

prosto pod mym domem upadłem

gdy pomyślałem spokojnie o tobie

to wyjątkowo nie potrzebuję tego maja  
czułości lwa dwóch dziewic pestek owoców  
hotelu i domu

zwyczajnie tak czuję że noc jest dziś niska  
a ty mieszkasz z innym

III miejsce

Barbara Piórkowska

Mleko

Tam są te mleczne stawy  
w których można kąpać  
chude dzieci  
wysyłam w mleko Was  
i Waszą Zbrodnię – Metaforę

idźcie bezpieczni  
ufni w niepokalane niepokalenie  
niech smak pierwotnej gwiazdy  
uleczy Wasze  
ropne miejsca

zimą – jeśli się zdarzy  
i zakopie Was w kościach śniegu  
wygłodzi inną bielą –  
rozpaczy i kamieni w torbach

- Przytulił Was Ona – idźcie –  
wspomnieniem opływu  
nabrzmiała pierś Ziemi  
Cisza ze złota  
Sok ciała – bez miecza

III miejsce

Patryk Zimny

hospicjum. niepodległość

w życiu potrzebne są karty przetargowe  
zwłaszcza jeśli masz tylko chwilę  
znam miejsce na ziemi  
w którym chwila trwa krócej

dziś stałem się czymś  
za co matka ma trochę lepiej  
kiedy wręcza mój tomik  
z dedykacją oddziałowej pielęgniarkom

pozwolą jej za to zjeść niekorzystne  
bez łaski zmienią pieluchę  
podadzą więcej serredolu\*

rozumiałem pomimo wściekłości na nią  
że jestem kimś więcej

niż karta przetargowa  
niż syn –

słowami które zostaną  
na zawsze

\* morfina



Maciej Kotłowski, absolwent ASP w Gdańsku. Laureat ogólnopolskich konkursów poetyckich, turniejów jednego wiersza i slamu. Publikował w „Autografie”, „Dodatku LITERACKIM” NL GDYNIA. Autor audiobooka poetyckiego *Czytanka* wydanego w serii audiobiblioteki gdyńskiego kwartalnika artystycznego „Bliza”. Mieszka w Wejherowie.

Jakub Noga, gra na sitarze – hinduskim instrumencie strunowym. Współzałożyciel projektu Mockba3, gdyńskiej grupy poetyckiej AERONAUICI łączącej awangardowe brzmienia z poezją. Współpracował z Przemkiem Dyakowskim, Jackiem Stromskim, dj Romero, dj Nasteem (Bernard Grey), gościł w Chłupocie Mózgu, współtworzył projekt Funkorganick. Obecnie wspólnie z Michałem Gosem (perkusja) Radovanem Jacuniakiem (bas) oraz Przemkiem Dyakowskim (sax) tworzy zespół muzyki improwizowanej Śladami Gagarina.

Barbara Piórkowska – poetka, dziennikarka, krytyczka literacka, autorka opowiadań i aktorka-amatorka. Skończyła polonistykę na Uniwersytecie Gdańskim. Laureatka Nagrody Prezydenta Miasta Gdańska dla Młodych Twórców (2004), stypendystka Marszałka Województwa Pomorskiego (2004, 2005). Opublikowała tomiki *Żyrafa* (nagroda Stowarzyszenia Literackiego im. K.K. Baczyńskiego) oraz *Lot aniola nad miastem*. Wiersze drukowała też w kilku antologiach i pismach literackich. Wkrótce ukaże się jej debiutancka powieść.

Patryk Zimny, laureat m.in. Wojewódzkiego Konkursu Poezji w Pałacu Młodzieży w Gdańsku, VII Połówek Poetyckich na Strychu w Gdyni, Turnieju Jednego Wiersza O kwiat rumianku, Złoty Środek Poezji w Kutnie. Wiersze publikował w „Autografie”, „Przeglądzie Oświatowym”, „Dodatku LITERACKIM” NL GDYNIA. Niedawno wydał debiutancki tomik *Uchoko*.



**MAŁGORZATA SZEJNERT**  
**27 października, 19:30**  
 prowadzi: **MARTA FOX**



**JUSTYNA BARGIELSKA**  
**29 października, 20:00**  
 prowadzi: **WOJCIECH BONOWICZ**



**RYSZARD KOZIOŁEK**  
**30 października, 19:00**  
 prowadzi: **JACEK ŻAKOWSKI**



**ANDRZEJ STASIUK**  
**30 października, 21:00**  
 prowadzi: **JURIJ ANDRUCHOWYCZ**

# Jesienne Spotkania z Laureatami

Bohema Jazz Club w Gdyni (budynek Gemini)  
**Nagroda Literacka Gdynia 2010**

Gospodarzem spotkań jest **MICHAŁ CHACIŃSKI (TVP Kultura)**

